

Rok XXXII

Nr e-137 (333)

Marzec 2018

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Historia „Lwa czuwającego” znad Jeziora Złotnickiego	<i>Krzysztof Pik</i>	3
Korona Polskich Sudetów – do połączenia szlakiem	<i>Dominik Cybulski</i>	5
Petronimia Suchej Góry w Karkonoszach	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	8

OJCZYSTE SZLAKI

Nie tylko Wisła	<i>Juliusz Wysłouch</i>	11
Dwieście lat warszawskiej Alma Mater	<i>Tomasz Kowalik</i>	14
Kocie łby pod ochroną	<i>Tomasz Kowalik</i>	17

TRASA MIESIĄCA

W cieniu góry Studenec – na styku Sudetów i Krainy Rudaw	<i>Bartosz Skowroński</i>	19
--	---------------------------------	----

GLOBTROTER

W górę Ingurii	<i>Mirosław J. Barański</i>	22
Miśnia to przede wszystkim porcelana	<i>Krzysztof Tęcza</i>	24
Kijowskie Muzeum Przyrodnicze	<i>Janusz Fuksa</i>	26
Zamek, który dotyka nieba	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	28

PORADNIK TURYSTYCZNY

Już marzec, a więc.....	<i>Juliusz Wysłouch</i>	30
Prognoza pogody według mądrości ludowej, czyli o czym warto pamiętać ruszając na szlak	<i>Sebastian Jakobschy</i>	32
Wyrypa z Prehybą w tle (wiersz)	<i>Karyna Drzewiecka</i>	33

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Region jeleniogórski na Tour Salonie 2018	<i>Krzysztof Tęcza</i>	34
---	------------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

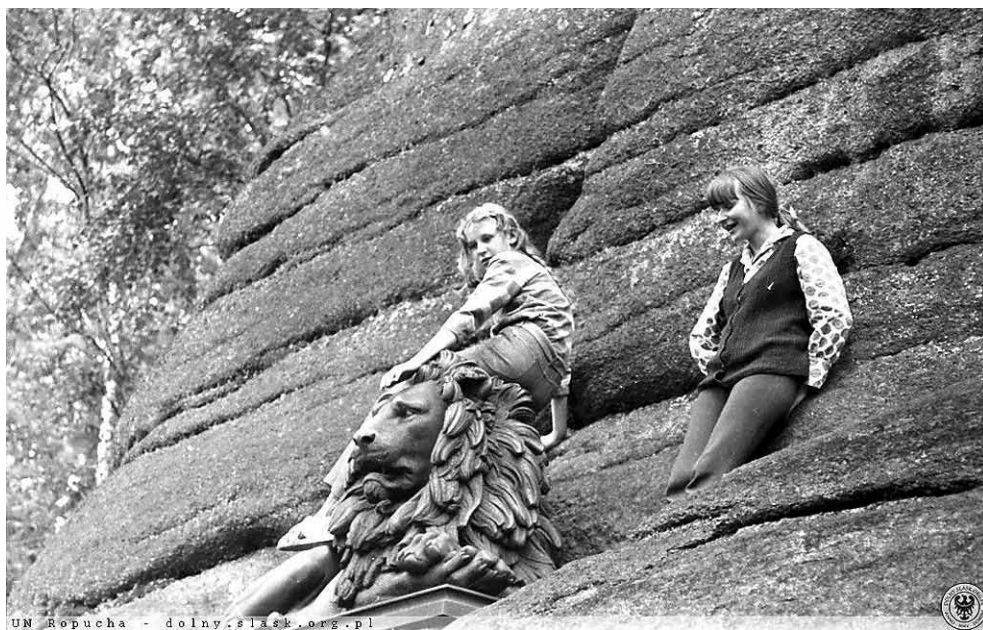
Nanga Parbat 1982	<i>Sebastian Jakobschy</i>	36
Nietypowy początek, czyli „Po kolei”	<i>Tomasz Kowalik</i>	37
Rocznik Jeleniogórski 2017	<i>Krzysztof Tęcza</i>	39
Głośnie białowieskie szepty	<i>Tomasz Kowalik</i>	40
Przyroda dla krajoznawcy (i odwrotnie)	<i>Tomasz Kowalik</i>	41

Na okładce: Schronisko PTTK „Odrodzenie” na Przeł. Karkonoskiej. Fot. Piotr Dacko

Historia „Lwa czuwającego” znad Jeziora Złotnickiego

Starościńskie Skały to ciekawa i mało znana grupa granitowych skał w Rudawach Janowickich, a dokładniej – jest to szczyt z ogromnym blokiem o nazwie Lwia Góra (718 m n.p.m.) w masywie Janowickiego Grzbie- tu. Ściany są okazałe i tworzą na wierzchołku labirynt z pięknymi formami baszt, wąskich przejść, szczelin, mis wietrzelinowych – z widokiem na Góry Sokole, Dolinę Janówki, Wołek, Dziczą Górę, Bielec, Masyw Skalnika. Bajkowa i romantyczna sceneria tego pięknego miejsca wynagrodzi nam trud wspinaczki. Atrakcyj- ność Lwiej Góry związana jest

z historią karpnickiego zam- ku. Od roku 1822, w czasach, kiedy w Karpnikach (wówczas Vischbach) rezydował książę pruski Wilhelm von Hohenzol- lern, brat króla Prus Frydery- ka Wilhelma III, Starościńskie Skały nazwano na cześć jego żony księżnej Marianny ska- łami Marii Anny (Mariannen- fels). Było to jej szczególnie ulubione miejsce. Przed wej- ściem na szczyt postawiona została figura żeliwnego lwa o wadze 40 centaurów (300 ki- logramów). Na skale umiesz- czono napis *Mariannenfels* wykonany z miedzianych liter. Realistyczny nurt w rzeźbie animalistycznej rozwinął się w latach, kiedy właścicielem karpnickiego zamku był wspo- mniany wcześniej Wilhelm von Hohenzollern. Przyczyni- ła się do tego moda na egzo- tykę oraz ekspozycje dzikich zwierząt w menażerii w Ber- linie. W latach 1821–1823 na wystawie zwierząt można było oglądać lwy. Młody wówczas Theodor Erdmann Kalide, stu- dent Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie, częsty bywalec berlińskiej menażerii, szkico- wał zwierzęta, a później wy- konywał próbne modele lwów z gipsu i gliny. Urodził się w 1801 r. w Chorzowie, zmarł w 1863 r. w Gliwicach. Był



Lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, Starościńskie Skały.
Fot. dolnyslask.org.pl



Lew nad Jeziorem Złotnickim. Fot. [Krzysztof Pik](http://KrzysztofPik.com)

synem inspektora hutniczego i bratem mistrza z Królewskiej Odlewni Żeliwa w Gliwicach. W gliwickiej odlewni uczył się rzeźbiarstwa pod kierunkiem Friedricha Ludwiga Beyerhausa. W 1819 r. Kalide wyjechał do Berlina, gdzie jako wolny słuchacz uczęszczał do Akademii Sztuk Pięknych, podejmując jednocześnie pracę w odlewni berlińskiej. Wzorem i opiekunem był dla młodego Kalidego Wilhelm August Stilar-ski, który w 1805 r. przybył do Berlina także z Gliwic.

Z berlińską odlewnią związanych było wówczas dwóch sławnych rzeźbiarzy: Johann Gottfried Schadow i Christian Rauch. Właśnie w pracowni Schadowa w 1819 r. Teodor Kalide podjął naukę, co niewątpliwie odbiło się na jego całej późniejszej twórczości. Schadow, powszechnie znany i podziwiany, był autorem słynnej Kwadrygi wieńczącej Bramę Brandenburską. Do najważniejszych zaś dzieł Kalidego należą: odlana w żelwie fontanna „Chłopiec z łabędziem”, żeliwny pomnik hrabiego Fryderyka Redena, „Dziewczyna z lirą”, odkuta w kamieniu „Bachantka na panterze” oraz „Matka Boska z Dzieciątkiem”, która znajduje się w kościele Świętego Krzyża w Bytomiu-Miechowicach.

Jako uczeń sławnego wówczas rzeźbiarza berlińskiego, Christiana Daniela Raucha, Kalide wykonał modele gipsowe rzeźb – „Lwa śpiącego” oraz „Lwa czuwającego”, zwanego „odpoczywającym”. Rzeźby zostały pokazane w 1824 r. na wystawie w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Według katalogu wystawy „Lew czuwający” zarejestrowany był pod numerem 337, a „Lew śpiący” – pod numerem 338. Obydwa modele posiadały sygnatury rzeźbiarza w prawym dolnym rogu: *T. Kalide fecit. Berlin 1823*. Według katalogu tej wystawy obie rzeźby wykonał Rauch przy pomocy pracownika Królewskiego Biura Górniczego Calide (pisownia oryginalna nazwiska) z Gliwic.

Christian Daniel Rauch był jednym z najznamienitszych rzeźbiarzy niemieckich XIX wieku. Urodził się w 1777 r. w Bad Arolsen w Hesji. Kształcił się u Johanna Christiana Ruhla, studiował historię sztuki i starożytnictwo na Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie pod kierunkiem Johanna Gottfrieda Schadowa. Od 1811 r. pracował nad pomnikiem królowej Luizy, który przyniósł mu rozgłos i ugruntował pozycję pośród najlepszych rzeźbiarzy tamtego czasu. Do najważniejszych jego rzeźb należą: pomniki Mieszka I i Bolesława Chrobrego w katedrze poznańskiej, konny pomnik króla Fryderyka Wielkiego przy ulicy Unter den Linden w Berlinie i posąg Immanuela Kanta w Królewcu.

Christian D. Rauch w momencie pokazania lwów na berlińskiej wystawie był uznanym twórcą o niezachwianej pozycji na rynku. W 1833 r. w katalogu wyrobów Królewskiej Odlewni Żeliwa w Berlinie podpisał swoim nazwiskiem wizerunki lwów, ograniczając



Lew ze Starościńskich Skał nad Jeziolem Żłotnickim. Fot. Krzysztof Pik



Skradzione dwa lwy z zamku Świerklaniec. Fot. sokolizslak.pl

udział ucznia Kalidego tylko do prac pomocniczych. Dlatego też w literaturze częstokroć jako autor lwów podawany jest tylko Rauch. Jednak Kalide uważał oba lwy za swoje dzieła, co do końca życia podkreślał. Zatem rzeźby „Lew śpiący” i „Lew czuwający” są dzisiaj związane z nazwiskami obydwu twórców.

Wystawę w Berlinie w roku 1824 zwiedził Wilhelm von Hohenzollern, brat króla Prus Fryderyka Wilhelma III, któremu spodobał się „Lew czuwający”. Zlecił wykonanie odlewu rzeźby Rauchowi. Zlecenie wykonano już w 1824 r. i rzeźbę, jako prezent dla ukochanej żony Wilhelma, księżnej Marianny, przewieziono do zamku karpnickiego. Lwa postawiono na jej ukochanej górze, by czuwał nad całą okolicą i jej mieszkańcami. Posąg stał tam do lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy to zniknął bez śladu. Później okazało się, że w tajemniczych okolicznościach został przewieziony nad Jezioro Złotnickie. Do dnia dzisiejszego wykonano cztery odlewy „Lwa czuwającego”. Niestety, turyści odwiedzający tamę Jeziora Złotnickiego o historii posągu nie wiedzą zbyt wiele. Brak jest tablicy informacyjnej o genezie i zawiłej historii tego arcydzieła, a latem lew jest prawie niewidoczny pośród bujnie porastających chaszczki.

Krzysztof Pik

Korona Polskich Sudetów – do połączenia szlakiem

Napisałem niedawno pracę magisterską. Bardzo długą. Właściwie przychodząc na studia od razu wiedziałem, że napiszę o najwyższych szczytach Sudetów i połączę je szlakiem. Założyłem sobie również, że nie będzie to praca odłożona na półkę, że znajdzie swoją kontynuację – przede wszystkim w terenie. No i pierwszy krok gotowy, ale przyznaję, że momentami myślałem, iż nie podołam, bo przedsięwzięcie było wielkie.

Do napisania pracy zainspirowało mnie wakacyjne zdobywanie najwyższych szczytów Sudetów Polskich w 2014 r. Po pierwsze – musiałem je dokładnie określić. Dotychczasowe listy były pełne sprzeczności i – po analizach dostępnych materiałów – wybrałem, jak wówczas myślałem, właściwe wierzchołki. Po drugie – potrzebowałem zaplanować podróż w taki sposób, aby jak najłatwiej przemieszczać się pomiędzy kolejnymi szczytami. Wtedy zauważyłem, że Główny Szlak Sudecki omija większość z obranych przeze mnie wierzchołków. To znaczy, że brakuje szlaku, który mógłby je połączyć. Może by się taki przydał? Szczyty zdobyłem, mijały kolejne miesiące, zrobiłem sobie przerwę na jednym z kierunków, no i właściwie nic nie pisałem. Kiedy ponownie usiadłem do materiałów, okazało się, że mój wybór z 2014 r. był błędny. W związku z tym uznałem, że muszę zweryfikować każdy szczyt po kolei, w każdym paśmie. Pozwólcie, że zacznę zgodnie z kierunkiem projektowanego szlaku, o którym napiszę później.

Góry Kaczawskie. Zapewne większość z Was słyszała o tym, że najwyższy jest Skopiec albo Baraniec, czasem mówiono o Okolu lub Folwarcznej. W Internecie na blogach turystycznych było sporo wpisów na ten temat, mapy również podawały różne wartości wysokości. Uznałem, że koniecznie muszę sam dokonać pomiarów, by ostatecznie przekonać się, który z wymienionych szczytów jest najwyższy w całym paśmie. Użyłem urządzenia GPS Garmin GPSmap 60Cx, który okazał się świetnym towarzyszem wędrówek. Jego dokładność do 3 metrów w poziomie pozwalała mi dość precyzyjnie oznaczyć szczyt. Ostateczna kolejność wyglądała tak: Folwarczna (725 m n.p.m.), Okole (723 m n.p.m.), Skopiec (722 m n.p.m.), Baraniec (721 m n.p.m.). Różnice niewielkie, ale naprawdę dokładne narzędzie wskazało mi Folwarczną i to ją uznałem (jak i parę innych osób, które niezależnie, na własną rękę, również dokonały pomiarów) za najwyższą w Górach Kaczawskich.

W Górach Izerskich raczej nikt nie podważa prymatu Wysokiej Kopy. To samo się tyczy Karkonoszy z najwyższą Śnieżką, Rudaw Janowickich ze Skalnikiem i Gór Kamiennych z Waligorą. Interesująca jest zaś kwestia prymatu w Górach Wałbrzyskich. Otóż według Korony Gór Polski, publikowanej pod koniec ubiegłego wieku na łamach czasopisma „Poznaj Swój Kraj”, najwyższy jest Chełmiec, który ma wysokość... 869 m n.p.m. Jest jednak pewien szkopuł – autorzy listy, Wojciech Lewandowski i Marek Więckowski, sugerowali się zapewne przewodnikiem Janusza Czerwińskiego z 1996 r., gdzie taka wysokość była podana. A skąd został wzięty ten pomiar? Z punktu pomiarowego umieszczonego na szczycie 18-metrowej wieży. Tak, pomiar wysokości Chełmca pochodził nie z poziomu gruntu, a właśnie z wieży. Gdyby jednak dosłownie wrócić na ziemię, to najwyższa w rzeczywistości staje się Borowa (853 m n.p.m.). Od niedawna na jej szczycie również znajduje się wieża widokowa, na którą serdecznie zapraszam.

W Górach Sowich najwyższa jest oczywiście Wielka Sowa i nie ma tu dyskusji. Kolejnym pasmem są Góry Stołowe. Tu sporym zaskoczeniem był fakt, iż na części map (Geoportal, Sygnatura, OpenCycleMap, Landscape) dostrzegłem, że wyższy od Szczelińca Wielkiego jest sąsiedni Skalniak. Konieczna stała się weryfikacja. W związku z tym na oba te szczyty udałem się ze wspomnianym wcześniej urządzeniem Garmin. Na szczęście ten korespondencyjny pojedynek wygrał Szczeliniec Wielki (924 m n.p.m.), na który bez problemu możemy wejść, w przeciwieństwie do Skalniaka (921 m n.p.m.) położonego poza szlakiem na terenie parku narodowego.



Wieża na Chełmcu

W Górach Orlickich bez wątpliwości najwyższa jest Orlica. Dalej mamy Góry Bystrzyckie i interesującą historię o dwóch Jagodnach. Ta bardziej znana, oficjalnie znajdująca się na takich listach, jak Korona Gór Polski czy Korona Sudetów Polskich, ma według map 977 m n.p.m. Mimo końcowego podejścia (idąc od strony Spalonej) miałem wrażenie, że jednak wierzchołek ten może znajdować się niżej, niż położone kilkaset metrów na północ wzniesienie. Na mapach nie ma ono nazwy, szlak tamtędy nie prowadzi (choć całkiem niedawno, jeszcze kilkanaście lat temu, przechodził przez szczyt). No ale „dałem nura” w krzaki przy słupku nr 158 (patrząc od Spalonej) i słabo wyraźną ścieżką dotarłem do rozpadającej się ambony, gdzie zmierzyłem wysokość 987 m n.p.m. Czyli coś jednak było na rzeczy. Na wszelki wypadek poszedłem dalej przecinką, niemalże w linii prostej, w stronę Jagodnej, by tam również dokonać pomiaru. Wyszło mi 982 m n.p.m., czyli bezdyskusyjnie mniej. Pozostała jeszcze kwestia nazewnictwa. Jako że dotychczasowe opracowania kartograficzne nie zadbały o to, by najwyższy punkt Gór Bystrzyckich posiadał nazwę, obligatoryjnie przemianowałem bezimienny szczyt na Jagodną Północną, a Jagodną na Jagodną Południową. Może się przyjmie.

Masyw Śnieżnika, jak sama nazwa wskazuje, to absolutna dominacja Śnieżnika nad otoczeniem. Na ograniczającej ten masyw od północnego-wschodu Przełęczy Płaszczyna wkraczamy w pasmo Gór... No właśnie, jakich? Któregoś razu na forum powiedziano mi, że „mądre głowy” wymyśliły Góry Bialskie i nie mnie się z nimi kłócić. „Świetny” argument. Problem się pojawia, gdy trzeba oddzielić domniemane Góry Bialskie od Gór Żółtych. Zerknijmy na regionalizację „mądrych głów”, od których ja uczyłem się na studiach. Jerzy Kondracki w swojej „Geografii regionalnej Polski” nie wymienia w ogóle Gór Bialskich i począwszy od Przełęczy Płaszczyna mamy rozległe pasmo Gór Żółtych. Podobnie wygląda sprawa u naszych południowych sąsiadów, gdzie Jaromír Demek (powiedzmy, że to w przybliżeniu czeski odpowiednik Kondrackiego) w swoim opracowaniu



Słupki, przy którym należy odbić na Jagodną Północną

pt. „Zeměpisný lexikon ČSR. Hory a nížiny” również nie dzieli tego obszaru na dwa pasma i opisuje go jako Rychlebské hory. Ale jeżeli już dzielić, to gdzie jest granica? Na Bielskim Siodle? Na Przełęczy Trzech Granic? Wklęsłości niezauważalne. Zatem skoro już mamy ustalone, że Gór Bialskich nie ma, ale są Góry Złote, to Kowadło (na liście m.in. Korony Gór Polski) traci pierwszeństwo na rzecz Postawnej (1117 m n.p.m.). Uwzględniany w części zestawień Rudawiec oczywiście jest znacznie niższy (1112 m n.p.m.). W ramach ciekawostki dodam, że Postawna nie jest najwyższym punktem (ale na pewno jest najwyższym szczytem) po polskiej stronie Gór Złotych. Ten znajduje się przy ścieżce granicznej, na zboczu Travnej hory i liczy sobie ok. 1120 m n.p.m. Te różnice ciężko zaobserwować w terenie, gdyż kopuły szczytowe w tej części Gór Złotych są bardzo rozległe.

Również i w Górach Bardzkich doszło do pewnych rozsad. Otóż dotychczasowy lider wszelkich zestawień, Kłodzka Góra, okazał się w wyniku pomiarów niższy od sąsiedniej Szerokiej Góry (757 m n.p.m. vs 771 m n.p.m.). Sam zauważyłem dopiero na blogach internetowych, gdy już miałem gotowe zestawienie, że od czasu mojej ostatniej wizyty w tym rejonie pojawiły się wśród turystów wątpliwości. Stąd wspomniane na początku akapitu autorskie pomiary. O ile różnice wysokości są oczywiste i wyraźne, więc nie ma o czym dyskutować, o tyle fascynujący jest pojedynek lokalnych twórców tabliczek z wysokościami. Skąd wartość 747 m n.p.m. na jednej z tablic na Szerokiej Górze? Dlaczego tablica z wysokością 770 m n.p.m. została zerwana i odwrócona tak, by nikt jej nie zauważył? Po co umieszczać co chwilę na drzewach rozpiskę najwyższych szczytów pasma? Nie jestem stamtąd, więc nie znam sytuacji zbyt dobrze, jednak przyznam, że niesamowicie mnie ciekawi ten spór różnych lokalnych grup w sprawie najwyższego szczytu Gór Bardzkich. I to by było na tyle w kwestii Korony, gdyż w Górach Opawskich pierwszeństwo Biskupiej Kopy nie podlega dyskusji.

Wykaz szczytów zaliczanych do Korony Polskich Sudetów (opracowanie własne)

Pasma	Szczyt	Wysokość (m n.p.m.)
Góry Kaczawskie	Folwarczna	725
Góry Izerskie	Wysoka Kopa	1126
Karkonosze	Śnieżka	1603
Rudawy Janowickie	Skalnik	945
Góry Kamienne	Waligóra	934
Góry Wałbrzyskie	Borowa	853
Góry Sowie	Wielka Sowa	1015
Góry Stołowe	Szczeliniec Wielki	924
Góry Orlickie	Orlica	1084
Góry Bystrzyckie	Jagodna Północna	987
Masyw Śnieżnika	Śnieżnik	1426
Góry Złote	Postawna	1117
Góry Bardzkie	Szeroka Góra	771
Góry Opawskie	Biskupia Kopa	890

Robocza nazwa dla przedsięwzięcia: Korona Polskich Sudetów, dla odróżnienia od Korony Sudetów Polskich, gdzie znajdują się formy wklęsłe (np. kotliny), których oczywiście nie uwzględniłem w pracy. Szlak, który miałby połączyć wymienione szczyty, zapoczątkowałem w Radomierzu, koło wieży widokowej, a zakończyłem w Pokrzywniej, przy dawnej stacji kolejowej. Teraz moim marzeniem byłoby, aby te 555,9 km zaistniało w terenie. Czekam na długą drogę, ale jestem pełen nadziei. Bardziej szczegółowe opracowanie tematu znajduje się na mojej stronie internetowej (<https://dominikcybulski1.wixsite.com/home>) w zakładce „Nauka i praca” – tam zamieściłem PDF-y z pracą i mapami do poszczególnych etapów szlaku.

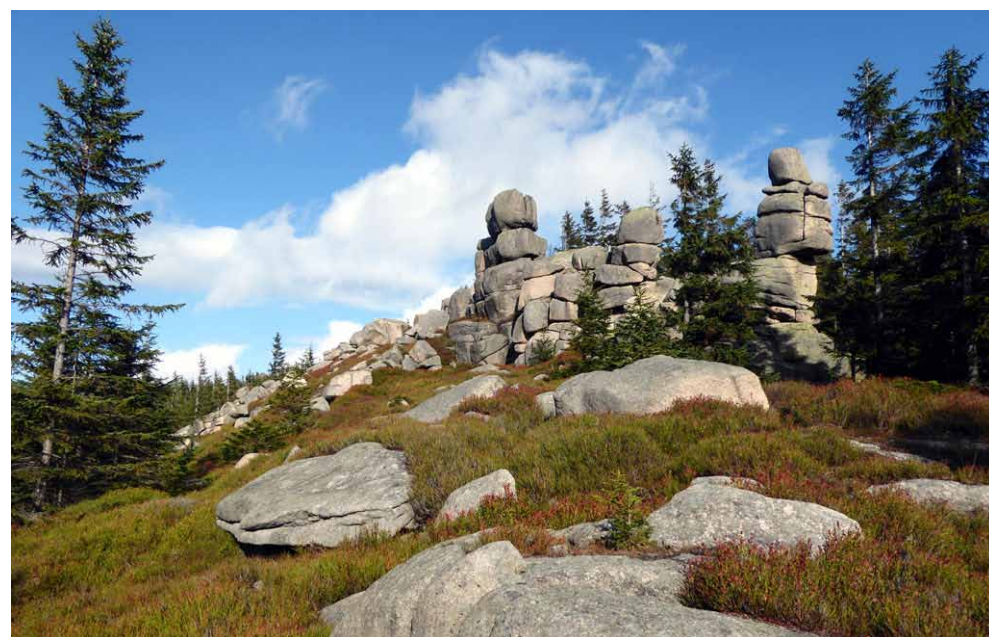
Dominik Cybulski

Petronimia Suchej Góry w Karkonoszach

Sucha Góra (1101 m) stanowi kulminację Suchego Grzbietu długiego na 5,3 km, ciągnącego się od **Podmo-
klej Przełęczy** (ok. 1074 m), oddzielającej Grzbiet od Czarnego Zbocza, aż do zlewu Czerwienia z Pod-
górną w Przesiece. Kiedy Tadeusz Steć w 1958 r. na pierwszej mapie Karkonoszy PPWK umieścił od połu-
dnia, tuż pod szczytem Suchej Góry, skały o nazwie Wiaterna, z pewnością nie przypuszczał, jakie wywo-
ła tym aktem zamieszanie.

Dopóki opracowywał treść turystyczną do tych map – nie było problemów. Za-
częły się one, kiedy pod ko-
niec lat siedemdziesiątych
ubiegłego wieku zezwolo-
no wreszcie na wydawanie
map o podziałce 1:30000,
a z czasem jeszcze dokład-
niejszych. Natychmiast po-
jawili się autorzy, którzy
„dokładnie” ustalili to, co
– ich zdaniem – Steć zro-
bił niezbyt dokładnie. Na-
zwą Wiaterna obdarzono
skały położone na połu-
dniowy wschód od szczy-
tu góry o starej niemieckiej
nazwie *Semmeljunge*, czy-
li chłopięca bułka. Chłop-
cy pasający bydło w górach
dostawali na drugie śniada-
nie pszenną bułkę lub mały

okrągły pszenny chlebek – przychlebek (po ang. *roll boy*). Podobną niemiecką nazwę skał, pochodzenia pa-
sterskiego, mamy również pod szczytem Czoła w Karpaczu Górnym. Ciekawe, że Tadeusz Steć poza mapą
Karkonoszy nie powtórzył nazwy Wiaterna w żadnym swoim opracowaniu. Czyżby zdawał sobie sprawę



Żemły – widok od SE



Widok z Łacnej na zachodnie zbocze Suchej Góry: 1. Biały Rogal, 2. Biała Opoka, 3. Suchy Krab, 4. Stromy Obłam, 5. Wielki Obłam

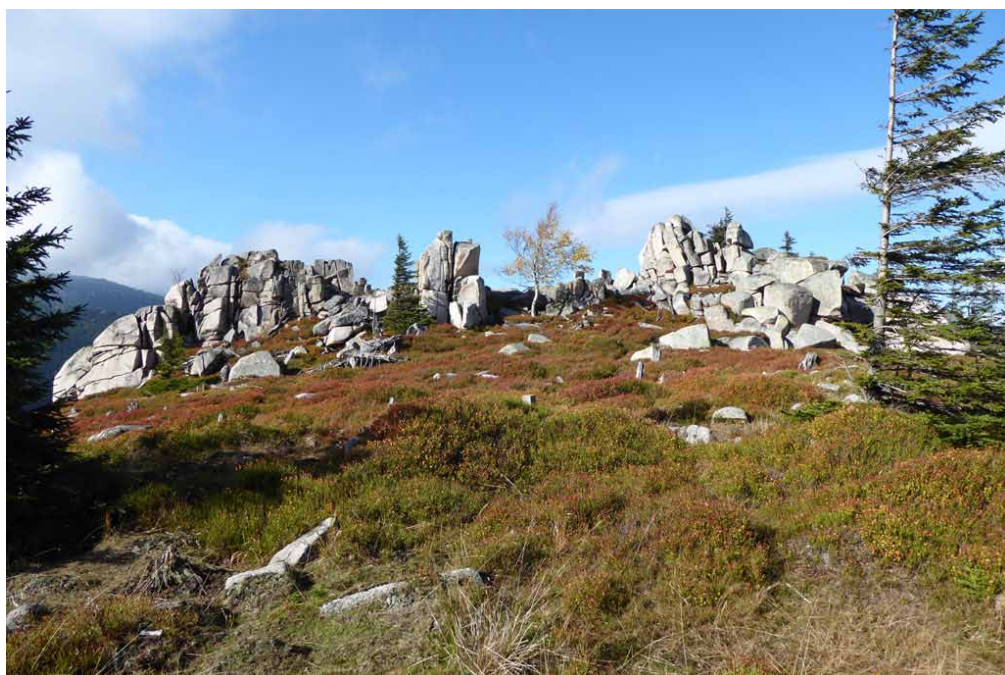
z jej nieudanej formy? Wiaterna to po prostu żona człowieka o nazwisku Wiaterny. Tymczasem derywaty od
apelatywu wiatr to wiatrowa
lub wietrzna. Wiesław Boryś
w swoim „Słowniku etymolo-
gicznym języka polskiego”
wyjaśnia, że wiatr to czterna-
stowieczny apelatyw (w sta-
ropolszczyźnie *wietr*).
W XVII w. mawiano *wiatrek*
(nazwa ogólnosłowiańska jako
derywat *ue-tro* od praindoeu-
ropejskiego pierwiastka *ue* –
wiał, dąć). Skoro autor petro-
nimu wybrał taką formę od-
osobową nazwy, to taka jego
wola i ja nie namawiam do jej
zmiany. Namawiam jednak,
aby przenieść tę nazwę **tam**,
gdzie została nadana, czyli na

podszczytowe skałki na wys. 1097 m, zaledwie 30 m na południe od szczytu Suchej Góry. Z nazwaniem „zwolnionych” skał nie ma żadnego problemu. Niemiecki *semmel* to dawno adaptowana do polszczyzny żemla, od której pochodzi wiele nazw osobowych. Jest to nazwa popularna, szczególnie na Górnym Śląsku, w tym samym znaczeniu bułki. Dlatego zachęcam, aby grupę skalną *Semmeljunge* nazywać Żemły. W takim razie skały na południowo-wschodnim zboczu Suchej Góry, o długości 44 m, w odległości ponad 250 m od jej szczytu, to Żemły. Składają się z dwóch grup skalnych stojących w odstępnie 6 m od siebie, na wysokości ok. 1080 m i 70 m powyżej planowanej niegdyś trasy Sudeckiej Drogi (dzisiaj ścieżki). Bardziej okazała i znana ze zdjęć jest ta dolna, najeżona trzema wieżami. Poniżej Żemłów, 40 m na SSW wyrasta na Podmokłej Przełęczy grupa niewielkich **Suchych Skał**, rozciągających się na odcinku 26 m. Prawdziwe „skalne eldorado” zaczyna się na zachodnim zboczu Suchej Góry. Najlepiej oglądać je ze skały Łacnej w grupie Skał Nadolnych na Bażynowych Skałach. Najwyższe z nich to **Biały Rogal**, którego dwie krańcowe opoki akcentują półkuliście ustawione drobne skałki na wysokości 1091–1096 m, w łuku o długości ponad 40 m. Wyrastają zaledwie 35 m od **Wiaternej** i 60 m na SSW od szczytu Suchej Góry, od którego oddziela je szeroki rów. Niżej, w odległości 70 m od północno-wschodniego krańca Białego Rogala, pośrodku zbocza wznosi się na wysokości ok. 1084 m potężna grupa **Białej Opoki** o długości 23 m, której najwyższa skała sięga 8 m wysokości. W odległości zaledwie 20 m na północ od Białej Opoki, na wysokości 1066–1074 m zalega najdłuższe zgrupowanie **Skalnego Kraba** o długości 57 m. Skały na zdjęciach satelitarnych mają kształt wielkiej litery „X” z wydłużonym lewym górnym ramieniem. Stąd nazwa. Powyżej Białej Opoki, od Skalnego Kraba do Białego Rogala rozciąga się rumowisko **Stromego Oblamu** o długości 300 m i szerokości 60–80 m. Poszarpany pas przetrzebionego lasu oddziela je od niżej położonego **Wielkiego Oblamu**. W ostatnich latach oba rumowiska szybko zarastają. Na Wielkim Oblamie bloki skalne są drobniejsze, za to rozmiary obiektu muszą zaimponować każdemu: 350–400 m. I to właśnie uzasadnia nazwę.

Autorzy „Arkusza inwentaryzacyjnego geostanowiska” (Roksana Knapik *et alii*) uważają, że wylesiona Sucha Góra jest zwieńczona licznymi okazałymi formami skalnymi zbudowanymi z gruboziarnistego granitu porfirowatego lub aplitu, którego pień ok. 200 m długi i 80 m szeroki odślania się



Suche Skały – widok od wschodu



Biały Rogal – widok od wschodu

na jej wierzchołku. Kopulaste wzniesienie wyrasta 30 m ponad spłaszczone i silnie podmokłe obniżenie w osi grzbietu (Podmokła Przełęcz!). W pozycji grzbietowej mamy Wiaterną i Suche Skały. W strefie załomu stożkowego Żemły i Białego Rogala. Pozostałe skały są na stoku zachodnim. Najwyższe ze skał osiągają 6 m, za wyjątkiem 8-metrowej Białej Opoki. Blokowy rozpad ich wychodni tworzy chaotyczne rozsypiska skalne. Zaokrąglone krawędzie skałek wskazują na ich wcześniejsze podpowierzchniowe zwietrzenie. Na powierzchni skałek występują nieliczne kociołki i rynny wietrzeniowe. Autorzy postulują włączenie Suchoj Góry w obręb KPN.

Na zboczach zachodnich znajdują się również cztery jaskinie szczelinowo-rumowiskowe: Szczelina z Belkami (o długości 10 m), Sucha Dziura (o długości ponad 6 m), Sucha Szczelina (o długości prawie 6 m) i najdłuższa – Suchy Przesmyk (ponad 18 m długości). Zdjęcia Wiaternej i jaskiń można obejrzeć na blogu Jana Wieczorka pod adresem dzikiesudety.blogspot.com.

Dojścia na Suchą Górę mamy dwa. Najłatwiejsze, ale najdłuższe, prowadzi od południa trasą niedoszłego odcinka Sudeckiej Drogi na Podmokłą Przełęcz. Znacznie krótsze, ale trudniejsze, wiedzie od północy z wyasfaltowanego odcinka Sudeckiej Drogi (wysokość 750 m). Idziemy łatwo rozpoznawalną **Suchą Ścieżką**, która kończy się na górnej granicy dolnego regła na wysokości ok. 980 m. Dalej na szczyt wiedzie przez górny regiel, przez wykroty świerkowego boru, nieprzyjemna ścieżynka. Jakiś dowcipniś wyznakował ją niebieskimi szmatkami. Sucha Ścieżka początkowo pełniła rolę zwykłej przecinki, a później – w dolnej części – była szlakiem zrywkowym. Dlatego dla powstrzymania erozji wodnej i zniwelowania rynny erozyjnej wykonano na niej zabudowę przeciwezyjną w formie drewnianych zapór.

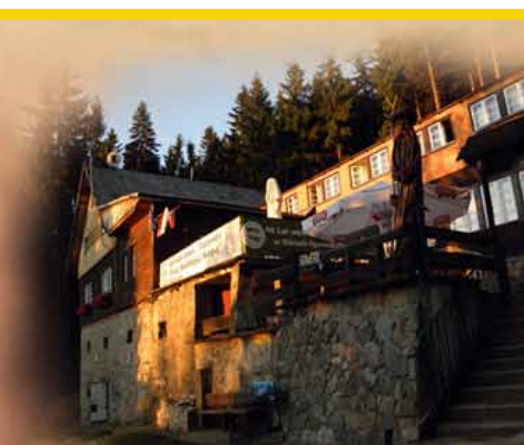
Do pokonania pozostaje trasa o długości ok. 700 m. Całość od Sudeckiej Drogi na szczyt to tylko 1,9 km. Łatwo policzyć, że przewyższenie wynosi 350 m. Co to jest dla turysty! Po drodze krzyżówka ścieżek na wysokości 835 m, skąd 50 m na zachód dojście do skał dziwnie nazwanych przyimkową nazwą: **Nad Przesieką**. Północna skrajna skała tego ugrupowania do złudzenia przypomina „diabła” w kompleksie skał Słonecznika. Na szczytowej skale cztery metalowe słupki podtrzymujące dawniej balustradę zaświadcza, że był to punkt widokowy na Przesiekę. Jednak świerki przerosły skałę. Szkoda, że minister Szyszko nie zdążył...

Niemiecka nazwa skał to *Bei den grossen Steinen* – „przy wielkich skałach”. Tutaj wypada wyjaśnić, że chodzi o trzy kompleksy skalne położone w pobliżu siebie na wysokości 835–843 m. O pierwszym, najwyższym, była już mowa, drugi niższy leży ok. 40 m na północny zachód od najwyższego, a trzeci z nich, położony ok. 30 m dalej na zachód, stanowi wielkie kamienisko. Wszystkie trzy ugrupowania obejmuje wspólna nazwa Nad Przesieką. Pomiędzy skałami, u ich stóp, prowadzi wygodna ścieżka wyłożona dawniej skalnymi blokami, obecnie zarośnięta. Idąc wyżej w kierunku Suchoj Góry po 100 m spotykamy przy Suchoj Ścieżce następną skałę. Jest to **Wyszczerebek** mający niewiele ponad metr wysokości. Nazwa mówi wszystko.

Nie mógłbym pominąć w tym tekście mojego ulubionego Wydawnictwa „Plan”, które wydając w 2012 r. mapę „Polskie i czeskie Karkonosze” o podziałce 1:25000 było uprzejmie „wzniesić” Suchą Górę na wysokość 1113 m. Można by to przeżyć, gdyby nie fakt, że ostatnia poziomicą wokół wierzchołka Suchoj Góry liczy sobie 1100 m. Narzuca się podejrzliwe pytanie: W jaki sposób na tak małym obszarze góra urosła aż o 13 m? Znowu przysłali z Warszawy??? Dlatego, na wszelki wypadek, korzystałem z mapy „Karkonoska Przełęcz” M-33-44-C-b-3 w skali 1:10000 wydanej przez GUGiK w 1998 r. Do niej odnoszą się podane wysokości.

Jerzy K. Bieńkowski

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Nie tylko Wisła

Powszechnie wiadomo, że Toruń leży nad Wisłą, nie wszyscy jednak wiedzą, że nad Wisłą i Drwęcą, jako że ta rzeka uchodzi do Wisły między Kaszczorkiem (dzielnica Torunia) a Złotorią (nie mylić ze Złotoryją). Drwęca to historyczna granica Królestwa Polskiego i państwa zakonu krzyżackiego, a także Cesarstwa Pruskiego i Imperium Rosyjskiego. U ujścia Drwęcy do Wisły stanął w 1343 r. zamek, graniczna strażnica, jedna z wielu budowanych z polecenia króla Kazimierza Wielkiego na granicach ówczesnej, jednoczącej się Polski. Drwęca płynąca przez ponad 300 km ze Wzgórz Dylewskich jest niemal na całej swej długości rezerwatem ichtiologicznym. Toczy czyste wody dzięki wielu inwestycjom w miastach leżących wzdłuż jej biegu. Budowa oczyszczalni ścieków zapobiegła kryzysowi ekologicznemu, który rysował się w latach 80. XX w. Ale nie o Wiśle i Drwęcę chciałem tu napisać.

Przedstawiam niniejszym dwa ciekawy wodne przepływające przez Toruń i w jego pobliżu. Miały i mają one duże znaczenie dla miasta i jego mieszkańców, zarówno w dalekiej przeszłości, jak i współcześnie. Są to Struga Toruńska i Struga Łysomska.

Struga Toruńska (Bacha – z j. niemieckiego *Bach*). Gdy spojrzymy na mapę „Okolice Torunia” w skali 1:50000 zobaczymy, że Bacha (bo taka nazwa funkcjonuje powszechnie w mieście) ciągnie się od Torunia na północ, do skrajnej mapy i... końca nie widać. To oznacza, że mierzy kilkadziesiąt kilometrów, a jest ich ponad 50 – dokładnie 51,5. Bacha bierze początek w Jeziorze Wielkądach na wysokości ok. 100 m n.p.m. i, wijąc się, zmieniając wielokrotnie kierunek, płynie na południe, by ujść do Drwęcy w Lubiczu Górnym, przy czym końcowy odcinek – od Grębocina do ujścia – nosi nazwę Struga Lubicka. Taki jest naturalny bieg Bachy. W latach 30. XIV w. Krzyżacy postanowili wykorzystać jej bystre wody do napędzania urządzeń potrzebnych do funkcjonowania miasta i zamku. Od Grębocina do Torunia wykopali kanał istniejący do dziś. Choć niewielu o tym wie, jest to sztuczny, a jednak malowniczy bieg Bachy, więc nikomu to nie przeszkadza. Jej wody zaprzęgnięto do pracy polegającej na napędzaniu młynów i innych urządzeń działających na granicy Torunia i przy samym zamku. Bacha dostarczała wodę także do browarów i zasilala fosę. W mieście płynie skrajem dzielnicy Rubinkowo, potem przez Mokre, m.in. obok Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy, przez osiedle Chrobrego do stawu Kaszownik. Dalej dwiema odnogami przez śródmieście, gdzie uchodzi do Wisły. Od zastawki na Kaszowniku ginie Bacha pod ziemią. Jedna jej odnoga skręca od razu na południe i płynie pod Starówką do zamku. Ujęta w murowany kanał pojawia się



Bacha na Osiedlu Chrobrego

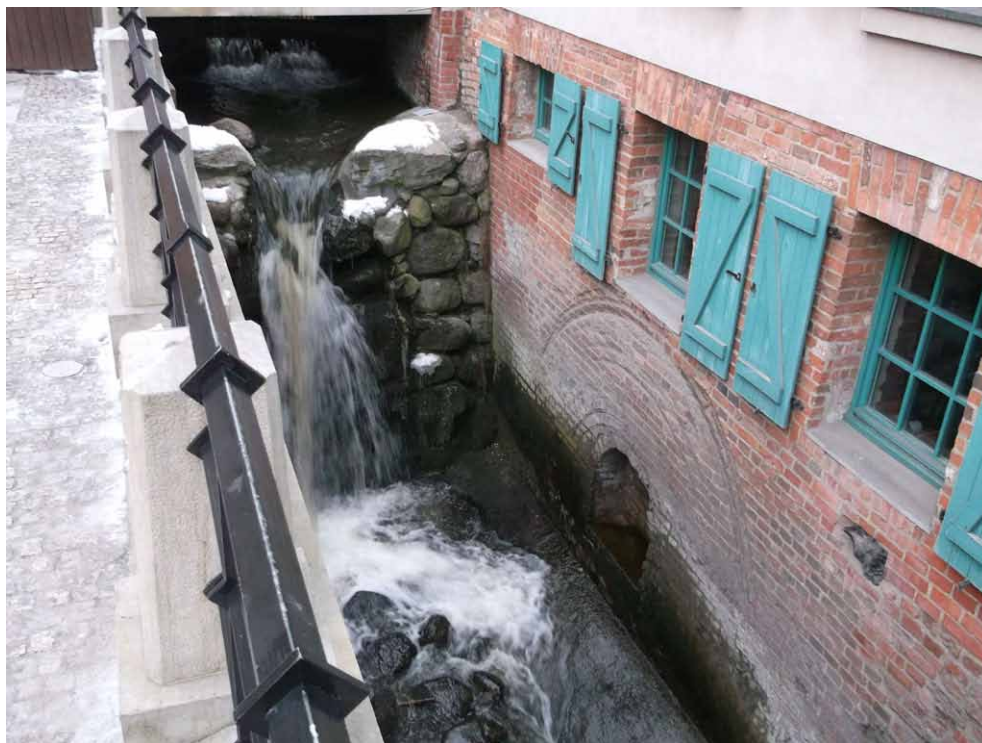
– od Grębocina do ujścia – nosi nazwę Struga Lubicka. Taki jest naturalny bieg Bachy. W latach 30. XIV w. Krzyżacy postanowili wykorzystać jej bystre wody do napędzania urządzeń potrzebnych do funkcjonowania miasta i zamku. Od Grębocina do Torunia wykopali kanał istniejący do dziś. Choć niewielu o tym wie, jest to sztuczny, a jednak malowniczy bieg Bachy, więc nikomu to nie przeszkadza. Jej wody zaprzęgnięto do pracy polegającej na napędzaniu młynów i innych urządzeń działających na granicy Torunia i przy samym zamku. Bacha dostarczała wodę także do browarów i zasilala fosę. W mieście płynie skrajem dzielnicy Rubinkowo, potem przez Mokre, m.in. obok Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy, przez osiedle Chrobrego do stawu Kaszownik. Dalej dwiema odnogami przez śródmieście, gdzie uchodzi do Wisły. Od zastawki na Kaszowniku ginie Bacha pod ziemią. Jedna jej odnoga skręca od razu na południe i płynie pod Starówką do zamku. Ujęta w murowany kanał pojawia się

w rejonie placu poddominikańskiego, po czym znika i podąża pod Pierogarnią Stary Toruń i ul. Strumykową. Przepływa pod czteroprzęsłowym ceglany średniowiecznym Mostem Paulińskim (autor, jako pracownik PKZ, miał okazję wykonywać w latach 80. ubiegłego wieku inwentaryzację budowlano-architektoniczną mostu i wspomnianych budynków), na którym później zbudowano zespół budynków (ul. Most Pauliński 2–10). Raz w roku, podczas święta ulicy Most Pauliński, odbywa się zwiedzanie mostu – wchodzi się pod budynki do przesł, gdzie ma miejsce ilustrowany wykład o historii budowy.



Staw Kaszownik

Ponownie widać Bachę na początku ul. Przedzamcze – tam, gdzie spoczywa zmęczony smok (patrz poprzedni odcinek „Ciekawostek”). Ostatni fragment biegu rzeczki widzimy przy budynkach dawnych młynów (dziś czterogwiazdkowy hotel) i pod gdańskim, skąd po kilkudziesięciu metrach wpada do Wisły. Druga odnoga Bachy poprowadzona od stawu Kaszownik jest całkowicie schowana pod ziemią. Po opłynięciu centrum miasta wyłania się niedaleko Placu Rapackiego (węzeł komunikacji miejskiej przed starym mostem im. Piłsudskiego), w parku zwanym Doliną Marzeń. Bacha nie ma dziś znaczenia gospodarczego. Płynąc wzdłuż



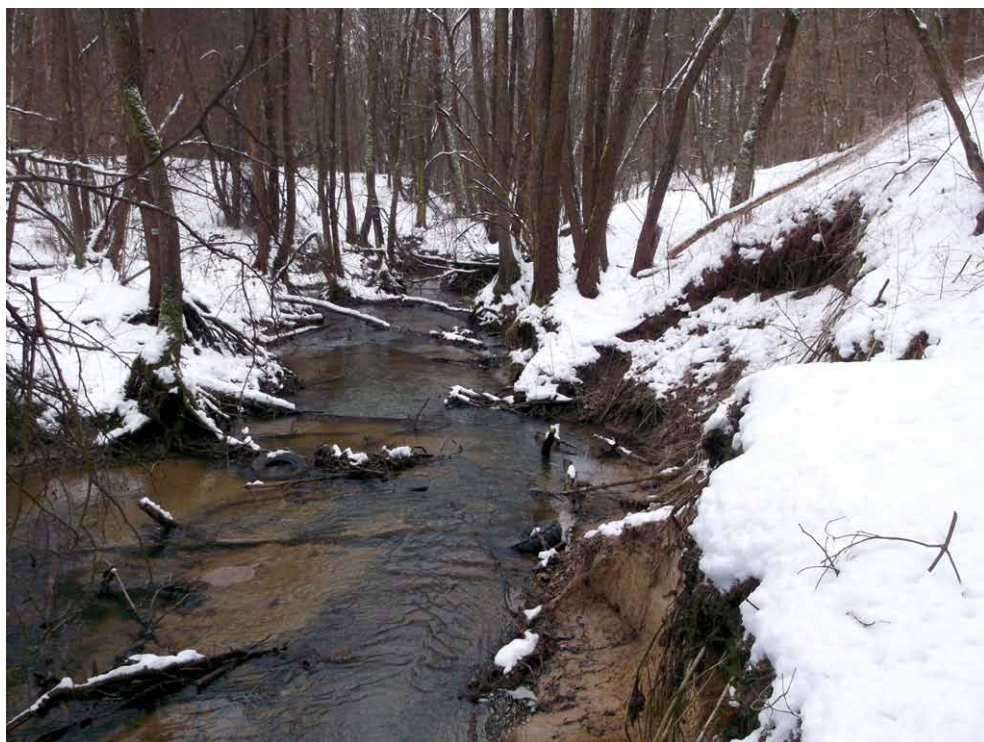
Kaskada Bachy przy zamkowym młynie

Rubinkowa jest, wraz z pieszo-rowerową promenadą, elementem terenu rekreacyjnego dla tysięcy mieszkańców, dalej urozmaica krajobraz współczesnych osiedli mieszkaniowych, reguluje lokalny mikroklimat i jest siedliskiem ptactwa wodnego, głównie kaczek. Taką to pamiątkę zostawili nam Krzyżacy, a trwa ona niemal niezmienną już 680 lat.

* * *

Struga Łysomicka. Nazwę bierze od dużej wsi Łysomice niemal sąsiadującej z Toruniem od północy. Od granic miasta oddziela ją pas lasu i pól szerokości ok. 3 km. Struga rozpoczyna bieg w środku Łysomic, na wysokości ok. 86 m n.p.m., płynie przez pola na południe, po czym skręca na zachód do granicy lasu (Las Papowski). Płynie wzdłuż lasu, przecina drogę DK 91 (Toruń – Gdańsk), dość leniwie wijąc się ku zachodowi, teraz już przez las. Na 3. kilometrze od szosy DK91, na dużej polanie (70 m n.p.m.), od północy dołącza do Strugi

spory dopływ niosący wody zbierane przez trzy strumienie między wsiami Różankowo, Piwnice (Centrum Astronomii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika z dwoma radioteleskopami) i Lulkowo. Kilka lat temu na polanie powstał duży staw wykopany w ramach „Programu małej retencji wodnej” realizowanego przez Lasy Państwowe. Struga przecina drogę gruntową łączącą dzielnicę Torunia Wrzosa z Lulkowem, a jej bieg staje się coraz ciekawszy. Zaczyna meandrować, przewijać się między pagórkami, wreszcie wpływa na teren rezerwatu leśnego Las Piwnicki. To najstarszy w okolicy rezerwat przyrody z historią sięgającą roku 1924, kiedy



Tu zielony szlak przekracza Strugę Łysomicką

zaprzestano wyrębu na tym terenie. Rezerwat został ustanowiony w roku 1956. Znajdują się tu ponad 300-letnie dęby i ponad 150-letnie sosny oraz kilkanaście gatunków innych drzew. Nietrudno spotkać sarnę, dziką, zmię zygzakowatą, a koryta Strugi zamieszkują bobry. Na terenie rezerwatu znajduje się stacja naukowa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Struga meandruje tu malowniczo między wydmowymi pagórkami. Las Piwnicki jest celem licznych wycieczek mieszkańców Torunia, zarówno pieszych, jak i rowerowych. Chętnie odwiedzane są siedliska bobrów, które główną siedzibę mają na zachodnim skraju rezerwatu, niedaleko szosy DW 553 Toruń – Unisław. Rowerzyści korzystają nie tylko z leśnych dróg – od kilku lat także z asfaltowej drogi rowerowej łączącej Toruń z odległym o 20 km Unisławiem. Stanowi ona oś wielu wycieczek, bowiem na zachód i na wschód od niej ciągnie się kilkanaście dróg leśnych i kilka asfaltowych pozwalających na układanie wielogodzinnych, całodniowych tras wycieczek rowerowych. Wróćmy jednak do Strugi. Po przekroczeniu drogi DW 553 wpływa ona między wysokie wydmy i toczy swe wody długim na 1300 m przełomem przez las na Olku. W pobliżu znajduje się leśnictwo Olek z polaną piknikowo-edukacyjną. To najbardziej malowniczy



czy fragment biegu Strugi Łysomickiej – płynie w głębokim jarze, a przedostanie się z jednego brzegu na drugi możliwe jest tylko przy bardzo niskim stanie wody. Piszę o tym dlatego, że 300 m na zachód od szosy ciek przecina znakowany zielono szlak pieszy. Kilka lat temu OM PTTK zbudował w tym miejscu solidny drewniany mostek, ale „uległ” on wandalom i przeżył może 3 miesiące, nie więcej. Od tej pory nikt już nie ryzykuje budowania tam czegokolwiek. Chcący przekroczyć Strugę muszą szukać dogodnych miejsc i powalonych drzew.

**Struga Łysomicka. Na drugi brzeg tylko w taki sposób – na pniu autor.
Fot. T. Perlik**

W pobliżu szlaku znajduje się poniemiecki żelbetowy schron i pozostałości budowli hydrotechnicznej. Być może była tu zastawka, a może nawet mała hydroelektrownia. Po minięciu pasma wydm Struga przecina leśną drogę łączącą Toruń z lasami i leśnictwem na Olku. Za mostkiem bieg rzeczki nie jest już tak ciekawy, jej meandry stają się coraz łagodniejsze, wpływa na niemal płaski, zalesiony teren, cały czas utrzymując kierunek zachodni. Jakieś 1,3 km na zachód przecina teren osady Chorab, gdzie w ubiegłym roku stanął monument upamiętniający męczeństwo kobiet żydowskich przetrzymywanych tu w nieludzkich warunkach w filii obozu koncentracyjnego Stutthof,



Pomnik w Chorabiu. Frontem Andrzej Hermann, współautor Kanonu Krajoznawczego Województwa Kujawsko-Pomorskiego

w latach 1944–1945. Kobiety te wykorzystano do kopania rowów przeciwczołgowych w okolicy Torunia.

Ok. 1 km na północ od biegu Strugi Łysomickiej wznosi się krawędź Pradoliny Wisły utrzymująca wysokość od 81 m n.p.m. (leśnictwo Olek) do 74,3 m .n.pm. (Zamek Bierzglowski). Poziom koryta Strugi to ok. 46 m n.p.m. U podnóża wysoczyzny, na wysokości Zamku Bierzglowskiego, pojawiają się łąki przecięte krawędzią kanałów zasilanych przez Strugę. Dalej, przed wsią Zławieś Mała, łączy się ona z tzw. Górnym Kanałem i płynie jeszcze przez kilkanaście km, by w okolicy Czarnowa wpaść do Wisły. Oficjalnie długość Strugi Łysomickiej określa się na 26 km, ale wraz z Kanałem Górnym liczy ponad 40 km. Wycieczkowicze najchętniej odwiedzają wspomniany już rezerwat Las Piwnicki oraz przełom Strugi w lasach Olka. Miejsca te warte są odwiedzenia o każdej porze roku, a najciekawiej jest zimą i na przedwiośniu, przy wysokim stanie wody. Dwa lata temu, podczas suszy, ledwo można było dostrzec w Strudze wąską wstążeczkę wody. W styczniu 2018 r., kiedy piszę ten odcinek „Ciekawostek”, lustro wody szerokie jest na 6–8 m. Wyprawa do przełomu Strugi na Olku to spory kawałek turystycznej przygody.

Juliusz Wyślouch

Świątynia polskiej nauki

Dwieście lat warszawskiej Alma Mater

Do znakomitych polskich uniwersytetów (wtedy galicyjskich) – najstarszego Jagiellońskiego i Lwowskiego oraz Litewskiej Szkoły Głównej, czyli Uniwersytetu Wileńskiego, w 1816 r. w Królestwie Kongresowym dołączyła nowa uczelnia wyższa – Uniwersytet Warszawski.

Nie od razu nosiła taką nazwę. Polityka zaborców jej nie sprzyjała, a za karę likwidowano ją dwa razy – z powodu niezależności profesorów i zrywów powstańczych słuchaczy. Pierwszy raz odrodziła się w 1862 r. po powstaniu listopadowym, jako Szkoła Główna Warszawska. W 1869 r. znowu ją zamknięto karnie za udział studentów w powstaniu styczniowym. Następnym jej wcieleniem był Cesarski Uniwersytet Warszawski. Od 1915 r. używano nazwy Uniwersytet Warszawski. Kolejna przerwa w „życiorysie” nastąpiła pod okupacją hitlerowską w latach 1939–1945. Przeciwności skutecznie przełamywano w ciągu ponad 200 minionych lat.

Nazwy historyczne stołecznej Uczelni zmieniano w zależności od uwarunkowań, zazwyczaj politycznych. Były to kolejno: Królewski Uniwersytet Warszawski, Cesarski Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Józefa Piłsudskiego. Imię Marszałka nadano Uniwersytetowi w sierpniu 1935 r., w kilka dni po jego śmierci. Zdecydował o tym ówczesny prezydent RP – Ignacy Mościcki. Na fali kultu Piłsudskiego, jego imieniem nazywano wiele obiektów, poczynając od mnóstwa pomników i ulic w licznych miastach po górski szlak turystyczny w Beskidach Zachodnich i Wschodnich.

Czytelnikom „Na Szlaku” wypada przypomnieć, że nazwę szlakowi w hołdzie współtwórcy niepodległej Polski nadano uchwałą Zjazdu Delegatów PTT w Stanisławowie w czerwcu 1935 r. Znakowaną kolorem czerwonym trasę nazwano Głównym Szlakiem Karpackim. Biegnie on grzbietem Beskidów Zachodnich i Wschodnich – od Beskidu Śląskiego w okolicach Ustronia do szczytu Stoh w Beskidach Wschodnich. Był to wówczas najdłuższy, liczący ponad 700 km, znakowany szlak turystyczny w polskich górach, łączył Śląsk z Huculszczyzną.

Uniwersytet Warszawski dał początek kilku innym, współcześnie działającym uczelniom. W 1950 r. w miejsce zlikwidowanych Wydziału Lekarskiego i Wydziału Farmaceutycznego powstała Akademia Medyczna w Warszawie (obecnie Warszawski Uniwersytet Medyczny). W 1952 r. z Uniwersytetu wyłączono Wydział Weterynaryjny, który obecnie jest jednym z wydziałów Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W 1954 r. z wydziałów teologicznych Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego powstała Akademia Teologii Katolickiej (obecnie Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie). W 1997 r. filia Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku stała się Uniwersytetem w Białymstoku i ma 9 wydziałów. Z biegiem lat niektóre wydziały Uniwersytetu Warszawskiego stały się osobnymi uczelniami, jak Akademia Sztuk Pięknych czy wspomniana już Akademia Medyczna. Uczelnia przestała się mieścić w historycznej siedzibie, gmachy wielu wydziałów i instytutów, z nowoczesną Biblioteką Uniwersytecką i Wydziałem Neofilologii na czele, znajdują się w innych dzielnicach Warszawy, np. na Powiślu, Mokotowie i Ochocie.

Należy uszanować kolejne zmiany nazw tej Uczelni, ale trzeba też pamiętać, że jej inicjatorami byli Stanisław Staszic i Stanisław Kostka Potocki. Współcześnie Uniwersytet Warszawski jest jednym z najlepszych uniwersytetów w Polsce. W Rankingu Szkół Wyższych „Perspektyw” i „Rzeczypospolitej” corocznie zajmuje jedno z dwóch pierwszych miejsc. W 2016 r. był na pierwszym miejscu w Polsce. W międzynarodowej klasyfikacji uczelni wyższych w 2017 r. zajmował miejsce w przedziale 411–420, czyli najwyższe ze wszystkich polskich szkół wyższych. Imię Józefa Piłsudskiego Uczelnia nosiła do września 1939 r., czyli do wydania przez okupanta hitlerowskiego zakazu działalności. Ciekawe, że kolejne władze Polski Ludowej nie obstawały przy zachowaniu tej nazwy, po prostu oficjalnie, np. na dokumentach, jej nie używano. Ale czy jeszcze jeden przejaw kultu osoby Marszałka Piłsudskiego jest konieczny? Może sprawa ożyje w 2018 r., czyli w roku obchodów odzyskania niepodległości.

Obecnie Uniwersytet Warszawski tworzy 21 samodzielnych wydziałów. Najmniejszy (ma około 200 studentów i doktorantów) i najmłodszy (powstał w 2012 r.) jest Wydział *Artes Liberales* Sztuk Wyzwolonych. Największy i najliczniejszy jest Wydział Zarządzania z ponad 5 tysiącami słuchaczy. Kontynuatorem tradycji najstarszego wydziału, istniejącego od początków Uczelni, jest Wydział Prawa i Administracji, zaś najmłodszy, utworzony w 2016 r., po przekształceniach w minionych latach, jest Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii.

Do najstarszych wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego należy Wydział Biologii – rówieśnik całej Uczelni. Zaistniał w 1816 r. jako Wydział Umiejętności Filozoficznych, na którym nauczano geologii, zoologii, botaniki, antropologii. W 1817 r. zaczęto urządzać przeniesiony do Łazienek Królewskich, istniejący także już 200 lat, Ogród Botaniczny. Jego twórcą w nowym miejscu był Michał Szubert – pionier anatomii i morfologii roślin. Taki ogród, jako ważna pomoc w nauczaniu, znajdował się początkowo przy Pałacu Kazimierzowskim, założony w 1811 r. przez lekarza i przyrodnika, Jakuba F. Hoffmana. Po zamknięciu Uniwersytetu w 1831 r. badania naukowe prowadzono w Gabinetie Przyrodniczym, potem w Szkole Głównej, poprzednicze Wydziału Biologii. Pierwszym profesorem zoologii w Szkole Głównej był od 1862 r. Benedykt Dybowski – przyrodnik, podróżnik, lekarz, badacz jeziora Bajkał i Kamczatki.

Nie sposób wyliczyć najbardziej zasłużonych w historii Polaków, którzy w dorosłe życie wchodzili jako absolwenci Uniwersytetu Warszawskiego. Ta lista jest z oczywistych powodów bardzo długa, wszak w murach uczelni kształtowały się życiorysy i miały początek dokonania o wielkim znaczeniu dla Polski. Cenzus uniwersytecki zdobywali uczeni, politycy, twórcy zasłużeń dla rozwoju wielu dyscyplin nauki i gospodarki

narodowej, autorzy najwybitniejszych dzieł naszej kultury, żołnierze wszystkich rang i stopni, setki ministrów, członkowie licznych rządów, bohaterowie zrywów patriotycznych, osoby świeckie i duchowne.

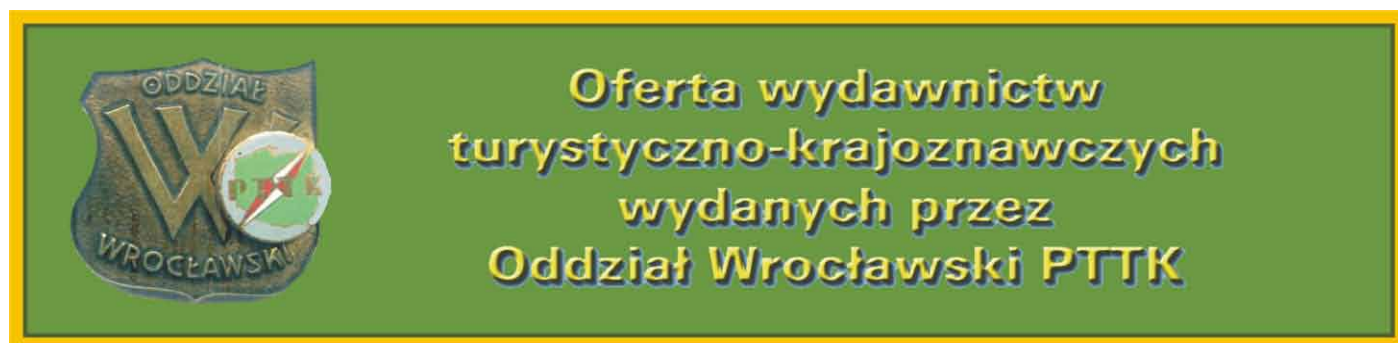
Warszawska Uczelnia chlubi się pięcioma laureatami Nagrody Nobla. Byli to: Henryk Sienkiewicz, który studiował tu w latach 1866–1871; prawnik Menachem Begin, późniejszy premier Izraela, który ukończył studia w 1935 r.; Czesław Miłosz, związany z Uniwersytetem Warszawskim w 1932 r. (kontynuował naukę na Uniwersytecie Wileńskim); fizyk i radiobiolog Joseph Rotblat, który obronił w 1938 r. doktorat; ekonomista Leonid Hurwicz, który ukończył studia prawnicze w 1938 r. Warto wspomnieć, że Fryderyk Chopin w latach chłopięcych mieszkał w jednym z gmachów uniwersyteckich i na dziedzińcu grywał w piłkę z Oskarem Kolbergiem, potem wybitnym badaczem polskiego folkloru i kompozytorem.

Na mapie Warszawy i w programie wycieczek krajoznawczych po mieście Uniwersytet Warszawski zajmuje jedno z głównych miejsc. Jest jednym z najbardziej wyróżniających się zespołów budowli przy historycznym Trakcie Królewskim, czyli Krakowskim Przedmieściu. Potocznie nazywany jest „starym kampusem”. Jest to zarazem jeden z cennych zespołów zabytków, z pałacami Kazimierzowskim, Potockich, starą Biblioteką i Szkołą Główną na czele. Jako jedna z najstarszych polskich uczelni wyższych jest też najstarszym „obywatelem” miasta stołecznego Warszawy. Początkowo Uniwersytet tworzyło pięć wydziałów: Prawa i Administracji, Lekarski, Filozoficzny, Teologiczny oraz Nauk i Sztuk Pięknych. Od początku do dziś kierowało nim 44 rektorów.

Na stronach internetowych znajdziemy informację, że aż 72% spośród 44,4 tys. studentów uczy się w trybie stacjonarnym, na kierunkach wieńczonych licencjatem i tytułem magistra. O stopień doktora nauk ubiega się 3,2 tys. osób, a corocznie uzyskuje go około 250 osób. Kadra Uczelni to 7,2 tys. profesorów, asystentów i bibliotekarzy. Zgodnie z wielowiekową, powszechną w Europie tradycją, wiedzę w tej Uczelni zdobywają również cudzoziemcy. W roku jubileuszowym było to 930 Ukraińców, 458 Białorusinów, 314 Hiszpanów, 273 Włochów, 256 Niemców, 192 Turków, 183 Francuzów, 157 Chińczyków, 117 Rosjan, 97 Litwinów, 81 Irlandczyków, 66 Meksykanów, 55 Czechów, 53 Irakijczyków, 52 Hindusów. Zdziwienie może budzić nieobecność Słowaków oraz brak informacji o liczbie studentów z krajów Afryki. Wypada też wspomnieć, że od 1949 r. działało przy Uniwersytecie Koło Akademickie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a od 1959 r. Koło PTTK nr 2, natomiast w budynku Rady Uczelnianej i Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich przy Krakowskim Przedmieściu 23 miał (od 1960 r.) siedzibę Oddział Międzyuczelniany PTTK. W tym samym budynku, począwszy od 1964 r. przez wiele lat trwało kilkanaście klubów turystycznych: Warszawski Yacht Club, Klub Jeździecki, Klub Alpinistyczny, Klub Kolarski „Vagabundus” oraz Uniwersytecki Klub Turystyczny „Unikat” zasłużony w ciągu 50 lat działalności w organizowaniu i popularyzacji turystyki o tematyce kulturalnej i etnologicznej.

Uniwersytet w minionych latach był miejscem wielu ważnych wydarzeń historycznych. W 2018 r. przypada 100-lecie rozbrajania w Warszawie wojsk niemieckich, które miało miejsce 11 listopada 1918 r., także z udziałem studentów tej Uczelni. Akcja ta poprzedzała odzyskanie przez Polskę niepodległości po 123 latach zaborów. W marcu 2018 r. przypada 50. rocznica tzw. wydarzeń marcowych. Były to protesty studenckie w 1968 r., które miały przyczynę w zdjęciu dramatu „Dziady” Adama Mickiewicza z repertuaru Teatru Narodowego i usunięciu z Uczelni słuchaczy Wydziału Historycznego – Adama Michnika i Henryka Szlajfera. W ich obronie studenci zorganizowali na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego 8 marca wiec, który został rozpuśćony przez bojówki tzw. aktywu robotniczego i milicję. Do podobnych wydarzeń doszło również w Krakowie, Gdańsku i Poznaniu, co zapoczątkowało kampanię antysemicką oraz przyczyniło się do emigracji kilkudziesięciu tysięcy osób pochodzenia żydowskiego.

Tomasz Kowalik



Kocie łby pod ochroną

Dawniej oznaką postępu, najczęściej awansem wsi na miasto, było brukowanie ulic kamieniami polnymi. Popularnie zwano je kocimi łbami, chyba ze względu na niewielkie rozmiary, choć to w istocie były głazy narzutowe, przeszkadzające rolnikom w uprawie pól, pozostałości pracy genialnego rzeźbiarza – lodowca. Były utrapieniem pieszych i wszelkich pojazdów. Pasażerów trzęsło, koła dudniły, osie (bez resorów) pękały, koleiny wypełniała woda. Dziś to pamiątki z przeszłości, zwalczane przez kierowców samochodów. Zamiast naprawiać, bruk pokrywano asfaltową „kołderką”.

Od dawna takie pójście na łatwiznę uznawane było za oznakę postępu i udoskonalania dróg miejskich, od rejonu staromiejskiego po przedmieścia. Ale oto nastąpił przełom w myśleniu – brukowane ulice, czyli owe kocie łby, znalazły obrońcę w postaci konserwatora zabytków. Miejskie bruki były wdzięcznym tematem dla fotografów krajobrazu. Nieliczne już brukowane warszawskie ulice zaliczono do zabytków, tak jak latarnie gazowe, żeliwne studzienki kanalizacyjne i ściekowe, pokrywy włazów do kanałów ściekowych i burzowych.

Do najbardziej znanych instytucji porządkujących drogi i ulice należy Komisja Brukowa, stworzona w 1685 r., a następnie wznowiona przez Franciszka Bielińskiego, marszałka wielkiego koronnego i działającego w Warszawie w latach 1740–1794. Jej sukcesem za czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego było pobieranie podatków na pokrycie kosztów wybrukowania kocimi łbami 222 ulic wychodzących z miasta, w większości w obrębie murów staromiejskich, m.in. Traktem Królewskim na południe, do Góry Kalwarii, szlakiem z Placu Trzech Krzyży po wiślanej skarpie przez Jazdów, po osi obecnej ul. Wiejskiej lub Alej Ujazdowskich.

Znacznie więcej brukowanych ulic znajdziemy dziś na prawym brzegu Warszawy, czyli w dzielnicach Praga Północ, Praga Południe, Wawer, gdzie ruch pojazdów jest niewielki i mieszkańcy nie narzekają na niedogodność wyboistych dróg. Takie stare ulice są na praskim Kamionku – np. Rybna (gdzie odbyła się elekcja króla Władysława Jagiełły); na Targówku – Lusińska, Biruty, Chyrowska, Rogowska, Księżnej Anny, na Ursynowie – Wyczółki; w okolicach pałacu w Wilanowie – ul. Biedronki, Kostki Potockiego; w Śródmieściu – ul. 29 Listopada; pod wiaduktem mostu Poniatowskiego na Powiślu – ul. 3 Maja; prostopadłe do Nowego Świata – Ordynacka, Smolna i równoległa – Gałczyńskiego; na Bielanach – ul. Księżycowa; na Bemowie – ul. Jerzego Waldorffa; w Wawrze – ul. Karpacka, Marysińska, Trawiasta; w Aninie – ul. II Poprzeczna (a jest jeszcze 10 Poprzecznych!); czy ul. Okrężna (dosłownie!) na Czerniakowie... powiązana z IX Fortem Czerniaków w pierścieniu twierdzy „Warszawa”.

W wielu polskich miastach i miasteczkach, mniej lub bardziej znanych krajoznawcom, są ulice i rynki brukowane, użytkowane jako place targowe, parkingi, po prostu ciche, a często zaniedbane zaułki pośród dawnej zabudowy. Warto wspomnieć np. o pięknie brukowanej spadzistej ul. Wałowej w Nowym Sączu czy starodawnych, dobrze utrzymanych rynkach w Starym Sączu i Krościenku nad Dunajcem; o brukowanych ulicach w Tykocinie, Jarosławiu, Przemyślu i wielu innych miastach. Niestety, od kilkunastu lat panuje moda na „brukowanie” ulic, uliczek, całych rynków i chodników kostką Bauma, która jest po prostu „obciachem” estetycznym – jednokolorowym, szarym pokryciem, finansowanym z pieniędzy publicznych, jak kraj długi i szeroki. Tak powstaje ciągle, bez ograniczeń, monotony krajobraz wsi, miast i miasteczek Polski „w kostkę”.

W Warszawie o stare brukowane ulice upominali się miłośnicy staroci i swojskiego krajobrazu miejskiego, nie tylko z Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, ale również z licznych organizacji obywatelskich o lokalnym zasięgu. To ich aktywiści spisali i opisali ponad 120 stołecznych ulic z brukiem, czyli pokrytych kocimi łbami, upominali się od wielu lat o troskliwe ich traktowanie. Również mieszkańcy apelowali o zachowanie starych nawierzchni, remonty sędziwych miejskich traktów i uliczek, przywracanie im, po koniecznych robotach, dawnego



wyglądu. Większość tych ulic, a także torowisk tramwajowych, podjazdów do bram starych kamienic (a jest ich w stolicy bardzo mało) wzbudziła zainteresowanie konserwatora miejskich zabytków.

Ze wspomnianych 120 wybrano do uznania za zabytkowe tylko 60 ulic w 15 stołecznych dzielnicach administracyjnych. Znacznie więcej można ich poznać podczas miejskich spacerów na uboczu, poza hałaśliwymi częściami miasta, gdzie nie ma knajp i piwnych ogródków – uliczek o ruchu jednokierunkowym lub „bez przelotu”. Wiele z nich znajduje się w osiedlach o starodawnych nazwach, znanych czasami tylko ze starych wydań map miejskich. Są to np. Szmulowizna, Kamionek, Powązki, Powiśle, Czyste, Groty, Marymont czy Okęcie. Przeróbki na nowoczesne uniknęły bruki i torowiska tramwajowe ul. Żąbkowskiej i poprzecznej do niej Kawęczyńskiej.

Pod koniec XVIII w. brukową nawierzchnię miało około 200 stołecznych ulic, a z obydwu stron charakterystyczne były tzw. rynsztoki, tzn. prymitywna kanalizacja na powierzchni, czyli śmierdzące ścieki komunalne. Gdziekolwiek przetrwały do dziś... A dopiero w 1841 r. pierwsze ulice pokrył asfalt.

Nieliczni przewodnicy miejscy znają te uliczki, ich nazwy, historię, ciekawostki, wydarzenia sprzed lat lub całkiem niedawne, czasem śmieszne, a czasem tragiczne. Zdarzają się też odkrycia: np. w 1922 r. przebudowano brukowaną nawierzchnię ulicy Słowackiego na Żoliborzu, a odkryto ją ponownie w 2003 r. i tym sposobem wróciła do tradycyjnego wyglądu.

Wypada wspomnieć, że pierwsze bruki pokryły warszawskie ulice w 1616 r. W kronikach miejskich inwestycji zapisano, że jako pierwsze nawierzchnię brukowaną miały: staromiejskie ulice Trakt Królewski, czyli Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, Podwale, ulica Mostowa prowadząca w dół po skarpie wiślanej na Powiśle (do pierwszego mostu przez Wisłę), staromiejska Miodowa i Senatorska, a także Marszałkowska i Aleje Jerozolimskie, prowadzące w XVIII w. do żydowskiego osiedla Nowa Jerozolima poza południowymi rogatkami miasta.

O ile mnie pamięć nie zawodzi, mnóstwo brukowanych ulic zachowało się w takich miastach jak Wrocław, Opole, Gorzów Wielkopolski, Zbąszyń, Zgorzelec, Nysa, Szczecin, Poznań, Września i w wielu innych na zachodnich krańcach naszego kraju. Może i tam kocie łby znajdą się pod ochroną. A może to jest niepotrzebne, bowiem w tamtych stronach brukowane ulice to coś całkiem normalnego, co nie wymaga nadzwyczajnych starań o zachowanie bez zmian „na lepsze”.

Tomasz Kowalik



W cieniu góry Studenec – na styku Sudetów i Krainy Rudaw

Namiastka Gór Stołowych tuż za granicą Sudetów, a może i... na granicy Sudetów. CHKO Labské pískovce w Górach Łużyckich. Centrum miasta blisko styku Krainy Rudaw z Sudetami. To tylko mała namiastka tego, co turyści mogą zobaczyć w cieniu tytułowej, znanej zapewne wielu miłośnikom Sudetów, góry (737 m).

Wierzchołek wznoszącej się nad okolicą góry Studenec warto odwiedzić. Wprawdzie zobaczenie kozic, które występują na tej górze, może nie być łatwe, ale nawet bez ich widoku, wejście godne jest trudu. No właśnie – i to niemałego. Sporym wysiłkiem dla niektórych może być zdobycie góry np. od strony zabudowań Studeného z wykorzystaniem czerwonego szlaku. Nie wiecie on, co prawda, w linii prostej w stronę wierzchołka tej góry, jednak zapewne wielu piechurów odczuje przejście tą znakowaną trasą. A później jeszcze szlak dojściowy – dopiero on doprowadzi nas w partię szczytowej góry. Warto tam pójść. No bo czy podziwianie rozległej, choć niedookolnej, panoramy z wieży widokowej nie jest godne trudu wędrówki? Turyści, którzy będą mieli taką możliwość, zobaczą nie tylko rejon krańca Sudetów. Ba, Sudety będą w tym widoku tylko dodatkiem. Na horyzoncie rzuci się w oczy przede wszystkim fragment Krainy Rudaw, w tym Czeska Szwajcaria. W dalsze podziały geograficzne nie ma co wchodzić, turyści bowiem używają najczęściej tej ostatniej nazwy. Figuruje ona też w „Urzędowym wykazie polskich nazw geograficznych świata”. Sudeckie Góry Łużyckie graniczą tu właśnie z Czeską Szwajcarią.

I to jak graniczą! Najogólniej mówiąc – bardzo nietypowo. Ktoś stwierdzi, że tak można powiedzieć i o innych krańcach, nie tylko Sudetów. Poniekąd tak. Każde przecież miejsce jest na swój sposób oryginalne. Ale przyznać trzeba, że pewną oryginalnością jest fakt, że granicę gór wyznaczyć należałoby punktowo, być może skrajem krawędzi górnych odcinków dolin, a niekiedy skrajem znajdujących się tam wychodni skalnych. Przy czym to, co poniżej tych krawędzi czy wychodni skalnych, ciążyłoby raczej do Krainy Rudaw, zaś to, co dalej i wyżej od nich, ciążyłoby chyba ku Sudetom. Brzmi skomplikowanie i zawikłanie? Może irracjonalnie? Jednak chyba można by się o coś takiego pokusić. Przynajmniej takie przemyślenia nasunęły mi się kiedyś podczas pobytu w tych stronach. Po prostu Czeska Szwajcaria jakby wepchnęła się tu w Sudety. Miejscami jak gdyby wyrosła na nich. Niech nikogo nie zmylą tabliczki, znajdujące się w pobliżu zabudowań wsi Kunratice i jej części o nazwie Studený, z tekstem: *CHRÁNĚNÁ KRAJINNÁ OBLAST LABSKÉ PÍSKOVCE*. Wprawdzie granica tego CHKO, jak i sąsiedniego CHKO Lužické hory, przebiega m.in. wzdłuż szosy łączącej Studený z „właściwymi” Kunraticami, jednak Góry Łużyckie ciągną się jeszcze dalej za tę szosę. Łużyckogórskim wzniesieniem jest np. Větrný vrch (481 m) i to pomimo iż leży już na obszarze CHKO Labské pískovce.

Aby przyjrzeć się bliżej granicy Sudetów i Krainy Rudaw w tym rejonie, warto powędrować zielonym szlakiem od strony zabudowań Kunratic w kierunku miejscowości Jetřichovice. Niezwykle widoki zobaczymy z niego w kilku miejscach. Dla przykładu, stojąc w obniżeniu (prawie 400 m) pomiędzy bezimiennym wzniesieniem (454 m) i wymienioną górą



Fragment Krainy Rudaw widziany z krańca Sudetów

o nazwie Větrný vrch, można cieszyć oczy nie tylko ich widokiem. Wzrok przyciąga przede wszystkim widziana na horyzoncie, nie tak znów daleko, Kraina Rudaw, w tym Czeska Szwajcaria. A więc już nie Sudety. Z tego miejsca wygląda to trochę tak, jakby Sudety w pewnym momencie po prostu się urywały, zapadały. Widoczne jest bowiem jakieś obniżenie, a za nim dalej wyrasta wał różnokształtnych, niekiedy osobliwie wyglądających, wzniesień.

Osobliwe na ww. zielonym szlaku jest też miejsce, w którym na wysokości ok. 350 m przecina on dolinkę z małym potoczkiem. To skraj lasu i pobliskich łąk, ok. 550 m w linii prostej od wierzchołka wzniesienia oznaczanego na mapach niekiedy jako Ovčák lub Ovčácký vrch (426 m).

Gdy w tym miejscu zerka się ze szlaku w dół dolinki widać, że staje się ona coraz głębsza. Na jej zboczach pojawiają się małe wychodnie skalne. Czy to kraniec Sudetów w tym rejonie? O ile tak by było, to granicę Sudetów i Krainy Rudaw można by chyba poprowadzić w tym miejscu... właśnie praktycznie skrajem krawędzi tej dolinki, niejako „obrysowując” ją. Przy tym, jej bardziej stromo opadające zbocza ciążyłyby już raczej do Krainy Rudaw, a teren od krawędzi („wierzchołka”) dolinki dalej od niej – do Sudetów. Trochę może fantazjuję, trzeba by bowiem jeszcze prześledzić dokładnie budowę geologiczną. Tego tematu tu nie poruszam, ale gdy szedłem tą trasą, taka myśl mi się nasunęła. Kolejne ciekawe miejsce na ww. zielonym szlaku czeka nieopodal. Dalej prowadzi on pograniczem obu wymienionych podprowincji Masywu Czeskiego. Na ścieżce, która wkracza do rezerwatu przyrody Pavlínino údolí, pojawia się piasek – jak gdzieś w Górach Stołowych. W końcu ścieżka zaczyna prowadzić dość stromo w dół. W ten oto sposób szlak zielony opuszcza Sudety i wkracza do Krainy Rudaw, no... do Czeskiej Szwajcarii.

Jedną z największych atrakcji opisywanego skrawka tej ostatniej jest dolina nosząca nazwę jak ww. rezerwat – Pavlínino údolí. Można tam dotrzeć idąc tym szlakiem dalej w kierunku skraju zabudowań Jetřichovic, a później wędrując w stronę... Sudetów czerwonym szlakiem E3. We wspomnianej dolinie na czerwonym szlaku czekają wędrowców m.in. takie atrakcje, jak przejście wzdłuż małego cieką płynącego „u stóp” wychodni skalnych, wędrowka wzdłuż szerokiego koryta rzeki obok wyrastających nad ścieżką ogromnych skalnych wychodni czy też przejście półką skalną wysoko nad korytem rzeki Chřibská Kamenice.

Mniej znana jest dalsza część szlaku E3, prowadzącego doliną dopływu Studený potok. I tam znajduje się trochę wychodni skalnych, jest to jednak tylko namiastka tego, co mamy w dolinie ww. rzeki. Skąły stają się też mniej widoczne, aż wreszcie, już na obszarze zabudowy Studeného, zanikają. Choć także tam jest jeszcze nieco atrakcyjnych wychodni skalnych. W ten oto sposób wędrowcy mają okazję wejść w Sudety. Prawda, że nietypowo? Żadnego wyraźnego uskoku. Po prostu głęboka dolina z formacjami skalnymi przechodzi w swój bardziej płaski, mniej skalny, wyżej leżący(!) odcinek.

Dla miłośników turystycznych szlakowskazów nie lada gratką na terenie Studeného będą dwie tabliczki wiszące na przystanku autobusowym. Pamiętają bowiem najprawdopodobniej czasy Czechosłowacji, na co wskazywać mogą m.in. napisy (1983). Przynajmniej taki stan miał miejsce w sierpniu 2017 r.

Ci, którzy planowaliby z tego przystanku odjechać publicznym środkiem transportu, muszą się liczyć z tym, że jeździ ich tu bardzo, bardzo niewiele. Wg stanu na początek grudnia 2017 r., w ciągu doby przyjeżdżają tylko 2 autobusy, odjeżdżają stąd też tylko 2 pojazdy i to wyłącznie w dni robocze. Bywają dni, że



**Dolinka z małym potoczkiem widziana z zielonego szlaku
Kunratice – Jetřichovice na wysokości ok. 350 m**

rozkład jazdy nie przewiduje żadnych połączeń, więc warto wcześniej go sprawdzić. Transportem publicznym blisko tego krańca Sudetów o wiele, wiele łatwiej dotrzeć do miasta, którego centrum leży tuż obok niego. Mowa o mieście Česká Kamenice. Ale, ale... czy dokładnie obok tego krańca, co wyżej opisany? Nie do końca. Blisko centrum ww. miasta stykają się ze sobą, owszem, sudeckie Góry Łużyckie i Kraina Rudaw. Z tych ostatnich jest to już jednak nie tylko fragment Czeskiej Szwajcarii, ale przede wszystkim Średniogórza Czeskiego.

Turystów bardziej mogą jednak zainteresować historyczne budowle, niż podziały geograficzne, a można by jeszcze mówić o nich w tym miejscu bardzo wiele... Tymczasem i historia ww. miejscowości jest niezwykle ciekawa. Ci, których nie interesuje jednak ani ona, ani historyczne budowle w centrum, mogą wybrać się do którejś z kilku części miasta, oddalonych od zwartego śródmieścia. Jedną z nich jest Líška. Wśród jej malowniczo rozlokowanych zabudowań prowadzi niebieski szlak, którym można dojść do skrzyżowania z czerwonym szlakiem E3, aby nim (inną trasą niż ze Studeného) dotrzeć do wspomnianego wcześniej szlaku dojściowego pod wierzchołkiem tytułowej góry. A tym ostatnim wejść na Studenca – niezwykłą górę leżącą blisko niezwykłego, łużyckogórskiego krańca Sudetów, zakątka, który naprawdę warto poznać.



Studený – szlakowskaz na przystanku autobusowym

Bartosz Skowroński

XVIII Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
“Łużyckie Wędrówki”
w ramach turystycznej imprezy
“3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”
odbędzie się w dniu 27.04.2018r.

Organizator imprezy:
 Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
 59-800 Lubań, ul. Łużycka 1
 tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
 szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmkluban.vipserv.org/menu3dni.htm

Dofinansowano z budżetu Starostwa Powiatowego w Lubaniu oraz Urzędu Miasta Lubań

W górę Inguri

Inguri czy też *Enguri* (jak się teraz coraz częściej pisze) to duża rzeka, zwłaszcza na warunki niezbyt w końcu wielkiej Gruzji. Ma długość 213 km i powierzchnię zlewni 4060 km². Ot, klasa naszego Wisłoka. Jednak nie ma źródeł w naszym tradycyjnym wyobrażeniu: tworzą ją od razu spore, rwące potoki, wydostające się spod lodowców spływających z południowych stoków Głównego Grzbietu Kaukaskiego. W górnym biegu jest rzeką *par excellence* górską: dziką, spienioną, toczącą w większości swe mętne wody głębokim kaniem, wyciętym w ciemnych skałach. W dolnym rozlewa się szeroko w błotach północnej części Niziny Kolchidzkiej. Uchodzi do Morza Czarnego w Anaklii – coraz popularniejszej miejscowości wczasowej – korytem tak szerokim, że przekraczający je most ma długość 540 m. Inguri posiada reżim wodny glacialno-pluwialny, co znaczy, że o przepływie rzeki decydują głównie wody podlodowcowe i deszczowe. A przepływy są spore: średnioroczny u ujścia wynosi ok. 173 m³/s, a więc blisko ośmiokrotnie więcej, niż we wzmiankowanym Wisłoku.

Górna Swanecja leży w sercu Kaukazu, u południowych podnóży najwyższego fragmentu jego głównego grzbietu. Jest bodaj najtrudniej dostępną krainą w Gruzji, a przynajmniej była nią do niedawna. Kiedyś dotrzeć tu można było tylko pieszo lub konno i to tylko pod warunkiem, że Swanowie – panowie tej mało przyjaznej ziemi – nie mieli nic przeciwko temu. To były trudności subiektywne. Natomiast trudności obiektywne sprowadzały się do swaneckiego powiedzenia: *Zła droga to ta, z której podróżny na pewno tak się zwali, że ciała jego nie można będzie znaleźć. Dobra droga – to ta, z której podróżny spadnie, ale trupa jego znajdą i pochowają. A wspaniała droga to taka, z której podróżnemu może nawet uda się nie spaść.* Jediną drogą, która prowadziła do krainy Swanów była dolina rzeki Inguri. I przez wiele stuleci była to zła droga!...

Powyższy cytat pochodzi z wydanej w 1971 r. w Związku Radzieckim książki znanego geografą, przyrodnika i alpinisty Aleksandra Kuzniecowa, pt. „Wnizu Swanecja”. W polskim tłumaczeniu wyszła ona w 1976 r. pod tytułem „A w dole Swanecja” w historycznej serii „Naokoło świata” wydawnictwa „Iskry”. Pozycja ta była moją ostatnią lekturą przed letnią eskapadą do Gruzji. Z niej zaczerpnąłem najwięcej wiedzy o (...) *nieznanej, tajemniczej Swanecji, krainie gór i ciekawych ludzi.*

Pomny przytoczonego powiedzenia z niecierpliwością oczekiwałem, kiedy nasz autobusik wjedzie wreszcie w dolinę Inguri, która w swym dolnym biegu wyznacza granicę separatystycznej republiki Abchazji. Jakóż i tuż powyżej miejscowości Dżwari otaczające nas z daleka wzgórza nagle urosły i zbliżyły się do drogi, a niezbyt szeroki asfalt zaczął się szybciej wznosić. Za szerokim łukiem zjeżdżamy z szosy w lewo na niewielki parking u stóp stromego zbocza, wzdłuż którego podchodzimy kilkaset metrów na rodzaj przełączki. Jeszcze kilka kroków i... u naszych stóp ukazuje się głęboki wąwóz, przegrodzony betonową ścianą, za którą zielonkawo błyszczą tafle wody.

Łukowa zapora o podwójnej krzywiznie (jej ściana



Zapora Inguri

w przekroju – zarówno poziomym, jak i pionowym – ma kształt łuku wygiętego częścią środkową w kierunku wysokiej wody, co zapewnia optymalną wytrzymałość na naciski setek tysięcy ton wody) ukończona została w 1988 r. i w tym czasie była najwyższą łukową zaporą wodną na świecie. Dziś zajmuje szóste miejsce wśród zapór wszystkich rodzajów – wyprzedza ją Zapora Nurecka w Tadżykistanie, trzy zapory chińskie i szwajcarska Grande Dixence. Wysokość tamy na Inguri wynosi 271,5 m, zaś długość mierzona wzdłuż korony – 728 m. Budowa zapory, realizowana w latach 1961–1987, doprowadziła do powstania długiego na ponad 20 km zbiornika zaporowego o powierzchni 13,1 km². Umożliwiło to zbudowanie elektrowni wodnej z dwudziestoma turbinami Francisa (o mocy 66 MW każda) oraz – poniżej – kaskady czterech kolejnych elektrowni wodnych (z których pracuje tylko jedna).



Jeziro zaporowe Inguri

Pierwszy problem powstał po odłączeniu się Abchazji w 1992 r.: o ile zapora pozostała w granicach Gruzji, o tyle elektrownie znalazły się po stronie abchaskiej. Na ten akurat temat zwaśnione strony musiały szybko dojść do porozumienia, bo energia tu uzyskiwana zaspokajała (w 2007 r.) ok. 45% potrzeb energetycznych Gruzji. Drugi problem, o którym dość głośno pisała swego czasu fachowa prasa, to fatalny stan zapory stwierdzony przez kanadyjskich specjalistów właściwie tuż po jej oddaniu do użytku (w 1994 r.). W pilne remonty obiektu, którego uszkodzenie mogłoby spowodować niewyobrażalną tragedię, wpompowano w następnych latach 116 mln dolarów, głównie z funduszy Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju, Unii Europejskiej, niemieckiego państwowego Banku Rozwoju oraz rządu Japonii. Dzięki temu udało się podnieść uzysk mocy z pierwszego stopnia elektrowni do 950 MW (z 1320 teoretycznych). Ze względu na swą unikalność, w sierpniu 2015 r. zapora uzyskała w Gruzji status pomnika dziedzictwa narodowego.

Słuchając tych informacji wpatrujemy się na zmianę to w szare cielsko muru zapory (4 mln m³ betonu), to w mało przejrzystą toń poza nią (1,11 miliarda m³ wody). Gładka tafla zaczyna się marszczyć i po chwili i my odczuwamy pierwsze, drobne krople deszczu. Szybko ewakuujemy się do samochodu i ruszamy w górę doliny.

Droga, poprowadzona stromymi stokami gór otaczających zbiornik, przypomina trasę wzdłuż brzegów Jeziora Solińskiego – tylko skala jest dziesięciokrotnie większa! Licznymi zakrętami odwzorowuje ona dolinki wszystkich cieków wodnych uchodzących do jeziora. W końcu tafla wody znika, przykryta tysiącami pni drzew: to cofka jeziora i znak, że wkraczamy w wyższe partie doliny.

32 km powyżej zapory Inguri zatrzymujemy się w osadzie Chaiszi. Ciemnymi oczodolami pustych okien straszą nas tutaj betonowe bloki,



Górny bieg Inguri zza szyby busa

w których mieli zamieszkać budowniczo wie kolejnej planowanej zapory wodnej – Zapory Chudońskiej. Prace rozpoczęto w 1986 r. – wyloty pilotowych sztolni można dojrzeć między drzewami po drugiej stronie rzeki. Zapora miała miec wysokość 200,5 m, powierzchnia zbiornika zaporowego – 520 ha, a moc zainstalowanych turbin miała wynosic 700 MW. Po podanej dacie widać, że budowa rozpoczęła się w okresie, gdy potęga ZSRR mocno chylała się już ku upadkowi, a tuż po owym upadku została wstrzymana. Utopiono w niej już podobno ok. 150 mln dolarów. Patrząc i zastanawiam się: gdzie?! Okazuje się, że znaczna część tej kwoty została po prostu zdefraudowana, a rozkradzione materiały zapewniły niespotykany boom budowlany w połowie Gruzji. W 2012 r. miały się rozpocząć prace przy budowie nieco niższej zapory (170 m), jednak zaporą (*nomen omen!*) okazały się pieniądze: potrzebnych byłoby co najmniej pół miliarda dolarów! Niestety, potencjalni inwestorzy zamknęli swoje sakiewki – mówi się, że to w związku z przegraną w tymże roku Michała Saakaszwiliego w wyborach prezydenckich...

Po posiłku w niewielkiej restauracyjce kontynuujemy podróż. Jeszcze miniemy kilka niewielkich osiedli – a często i pojedynczych domostw – i już wjeżdżamy we wrota Swaneji.

Góry dokoła coraz wyższe, sięgają 2600, 3000 i 3200 m n.p.m. Pokrywają je lasy – niżej liściaste, wyżej ustępujące borom iglastym. Gdy perspektywa doliny nieco się rozszerza zaczynamy dostrzegać wyżej położone hale i w końcu pierwsze ośnieżone szczyty: po lewej głównego grzbietu Kaukazu, po prawej – Grzbietu Swaneckiego z czterotysięczną Lailą. Koryto rzeki przebija się co rusz przez kolejne zwiężenia wśród czarnych skał, w których wycięty jest też nasz szlak. Asphalt na nim znika od czasu do czasu, a nasz busik musi pokonywać na drugim biegu fragmenty szutru, rozmywanego przez sączące się ze stoków strumyki. Woda w rzece, wzdłuż której wije się droga, nabiera mętnej, mlecznoszarej barwy, typowej dla cieków spływających spod lodowców. Powoli pojawiają się znów zabudowania.

W Ienaszi opuszczamy dolinę Inguri. Kierujemy się w górę jej prawobrzeżnego dopływu, Mulchry i w końcu stajemy w stolicy Górnej Swaneji – Mestii. Nie spadliśmy! A więc drogę (w myśl tego, co przytoczyłem na początku) należy uznać za wspaniałą!

Mirosław J. Barański

Miśnia to przede wszystkim porcelana

Miśnia leży w Krainie Łaby, regionie, w którym zabytki historyczne przeplatają się z nowoczesną architekturą. To miejscowość, w której turysta znajdzie tajemnicze zakamarki starego miasta, winnice założone na stromych zboczach, gdzie zobaczy malowniczy krajobraz rzeczny czy najstarszy zamek w Niemczech – Albrechtsburg, który w latach 1710–1863 był siedzibą słynnej manufaktury porcelany miśnieńskiej. Dzisiaj zamek zaprasza turystów do zapoznania się z historią europejskiej porcelany oraz dziedzictwa kultury byłych władców tego terenu.

Budowla wzniesiona wysoko nad Łabą widoczna jest już z daleka. Jej bryła przyciąga wzrok i niejako zmusza, by wspiąć się na wzgórze. Ten, kto tutaj dotrze, na pewno nie rozczaruje się. Najpierw jednak ujrzy katedrę św. Jana i św. Donata. Wzniesiona z kamienia, posiada dwie ponad 80-metrowe wieże. Jest to budowla gotycka, trójnawowa z transeptem, zamknięta chórem z prezbiterium. Wewnątrz świątyni znajduje się kaplica księżca mieszcząca mauzoleum Wettynów, a także druga, św. Jana Chrzyciela. Do katedry przylegają zabudowania dawnego monasterium kanonickiego ze sporym wirydarzem. Polskim akcentem jest fakt pochowania tutaj w 1534 r. Barbary Jagiellonki, córki króla Polski Kazimierza Jagiellończyka.



W samym zamku zachwycająca jest nie tylko bryła, ale przede wszystkim wnętrza. To miejsce, w którym możemy zobaczyć, jak wyglądają sklepienia kryształowe. Generalnie takie sklepienia występują niezwykle rzadko, a tutaj posiada je większość komnat. I jeszcze jedno, zazwyczaj sklepienie kryształowe to surowy sufit pomalowany na biało. Tutaj sklepienia są bardzo bogato dekorowane różnokolorowymi farbami. Już tylko dla tego widoku warto odwiedzić to miejsce.

Zamek Albrechtsburg to miejsce niezwykle także z innego powodu. Z rozkazu Augusta II Mocnego założono tutaj w 1710 r. pierwszą manufakturę porcelany. Przez 150 lat wytwarzano w niej wyroby porcelanowe codziennego użytku, ale także ozdoby. Często były to prawdziwe dzieła sztuki. Dzisiaj wiele z nich możemy zobaczyć w zamku. Jest tu także wiele eksponatów związanych z produkcją porcelany.

Po raz pierwszy porcelanę wyprodukowano w Chinach w VII w. naszej ery. Jej wartość handlowa dorównywała wartości złota. Nic dziwnego, że każdy człowiek, którego było na to stać, chciał ją mieć w swoim domu. Jednak znalazł się człowiek, który obsesyjnie próbował odkryć tajemnicę „produkcji złota”. Był to król Polski August II Mocny, który zatrudniał uczonych i zmuszał ich do poszukiwań sposobu zamiany pospolitego kruszcu na złoto. I stało się. W roku 1708 Johann Friedrich Böttger „odkrył” pierwszą europejską porcelanę. Dwa lata później, jak już wspomniałem, król August II Mocny, założył w miśnieńskim zamku pierwszy zakład produkcji porcelany. Manufaktura w latach 60. XIX w. została przeniesiona do nowych obiektów pobudowanych w dzielnicy Triebischtal, oczywiście w Miśni.

Początkowo wszystkie działania związane z produkcją porcelany były utajnione. Za upublicznienie choćby drobnej informacji można było stracić głowę. Wszak chodziło tu o naprawdę duże pieniądze. Wytwórnia porcelany w odpowiedniej jakości glinę zaopatrywała się w najmniejszej kopalni w Europie. Laboratorium zakładowe dopracowało się niemal 10 tysięcy różnych odcieni kolorów używanych do zdobienia wytwarzanych produktów.

Czasy się zmieniły. Dzisiaj ze sposobem produkcji porcelany można zapoznać się w Internecie. Wydaje się, że wszystko jest jasne, jednak wiele tajemnic nie zostanie ujawnionych nigdy. A właśnie bez nich nikt nie jest w stanie wyprodukować tak pięknych i dobrych wartościowo wyrobów z porcelany.

W roku 1916 po raz pierwszy udostępniono publiczności zbiory porcelany miśnieńskiej. Dzisiaj każdy może przyjechać do Miśni i zwiedzić zgromadzoną tu kolekcję oryginalnych wyrobów miśnieńskiej porcelany. Może także zobaczyć na warsztatach poszczególne fazy procesu produkcyjnego. Organizowane są wejścia grup turystycznych. Wydaje się, że zakład nic już nie ukrywa. To jednak tylko złudzenie.

Warto poświęcić kilka godzin, by zapoznać się z przygotowanymi wystawami. Zgromadzone tu eksponaty to ponad 300 lat historii europejskiej porcelany. Już na parterze można zobaczyć naturalnej wielkości saksońską Statuę Wolności, będącą największą na świecie wolnostojącą figurą z porcelany. Suknia, w którą ją ubrano, ozdobiona jest ponad 8 tysiącami ręcznie wykonanych kwiatów. Kunszt autorów tego niepowtarzalnego dzieła wprawi w zachwyt każdego, nawet największego niedowiarka. Ozdoby tej figury pokazują wprawę pracowników, którzy są wybitnymi artystami. Najważniejszym narzędziem pracy przy produkcji są ludzkie ręce. Tutaj nie da się wprowadzić automatyzacji.

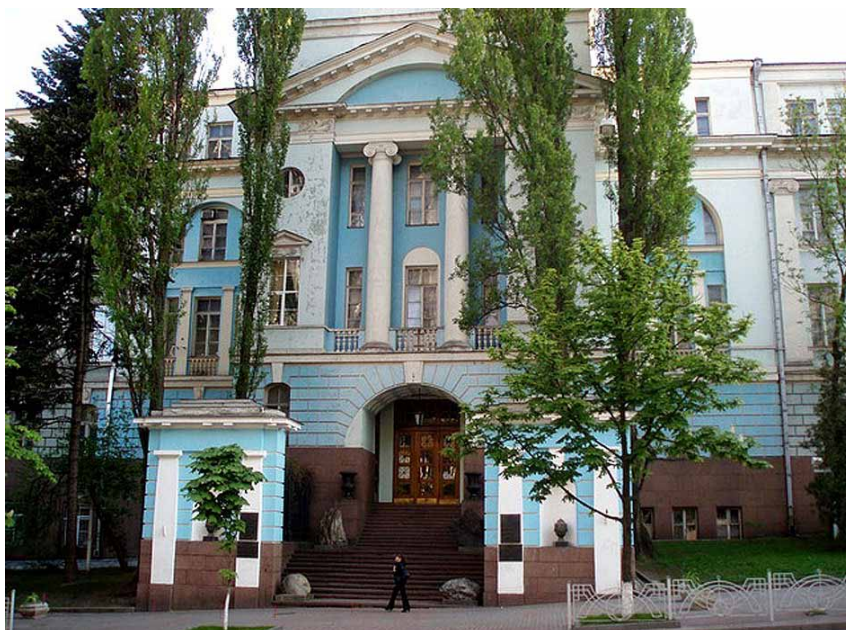
Aby przekonać się o tym, warto przyjrzeć się poszczególnym fazom produkcji. Podczas podglądania pracy dowiemy się m.in. z ilu części składa się porcelanowa figurka, jak nakłada się poszczególne kolory farby i w końcu – co należy zrobić, by ostateczny wyrób lśnił i przyciągał wzrok swoim pięknem.

Najbardziej emocjonującą częścią zwiedzania *MEISSENER PORZELLAN* jest podążanie korytarzami i salami, w których wystawiono tysiące eksponatów. Wiele z nich nigdy wcześniej nie było pokazywanych publicznie. Część stanowią wyroby, które się nie sprzedały; inne zachowano po to, by pokazać, co na przestrzeni czasu było produkowane. Wszystkie jednak wywołują u zwiedzających zachwyt. I tak niech pozostanie.



Kijowskie Muzeum Przyrodnicze

Do wielu kijowskich muzeów, które dotychczas opisałem (NS e-135 – 01/2018, NS e-126 – 04/2017 i wcześniejsze), chciałbym dziś dodać Narodowe Muzeum Naukowo-Przyrodnicze. Mieści się w ogromnym neoklasykcyjnym gmachu przy ulicy Bohdana Chmielnickiego, w samym centrum Kijowa. Gmach zaczęto projektować i wznosić w 1910 r. dla gimnazjum żeńskiego im. św. Olgi. Nieukończony budynek niszczał w czasie I wojny światowej. Dopiero w 1927 r. uzyskał obecną postać i został zagospodarowany przez Ukraińską Akademię Nauk. Dysponuje 24 salami o łącznej powierzchni 8 tys. m kw. Zbiory ogółem sięgają 2,5 mln jednostek muzealnych, z których wystawia się niewielką część. Przedstawiają one początki Ziemi i jej ewolucję, świat roślinny i zwierzęcy oraz dzieje kultury materialnej plemion i narodów, które żyły na terytorium Ukrainy. Kijowskie muzeum przyrodnicze to właściwie zespół kilku muzeów, połączonych w 1966 r.



Gmach muzeum przyrodniczego

Najniższą kondygnację zajmuje muzeum archeologiczne, składające się z 4 sal, w których zebrano ponad 7 tys. przedmiotów wykonanych przez człowieka poczynając od epoki kamienia do średniowiecza. Najstarsze narzędzia ludzkie liczą sobie 800 tys. lat i pochodzą z wykopaliska Korolewo na Zakarpaciu. Są tu przedmioty z epoki paleolitu, okresu kultury trypolskiej, przedmioty należące kiedyś do Scytów, Kimerów, Sarmatów i pierwszych Słowian. Pierwotną ekspozycję archeologiczną stworzono w 1929 r.

Na pierwszym piętrze rozmieszczono muzeum geologiczne, którego początek sięga 1927 r. Jego zbiory składają się z 50 tys. skał i minerałów oraz pozostałości flory i fauny. W 7 latach zgromadzono eksponaty, które mogą służyć do poznania geologicznych dziejów Ziemi na przestrzeni 4 miliardów lat. Pokazuje się tu, jak zmieniało się terytorium Ukrainy w ciągu kolejnych er i okresów stratygraficznych, jak następowały po sobie lądy i morza, jak wyglądał świat roślinny i zwierzęcy. W kolekcji minerałów eksponuje się ich prawie 1500, w tym 150 z Ukrainy. Można się tu zapoznać z bogactwami naturalnymi kraju oraz mórz Czarne i Azowskiego. Można prześledzić procesy w litosferze: ruchy tektoniczne, trzęsienia ziemi, magmatyzm, wulkanizm i metamorfizm, a także procesy zewnętrzne, takie jak działanie atmosfery, wiatrów, wody i lodu. Zaciekawienie budzi pień olbrzymiego drzewiastego widłaka z okresu karbonu w erze paleozoicznej (sprzed 300 mln lat), wydobyty w kopalni węgla w Donbasie. Ogromna ekspozycja wciąż rośnie dzięki ekspedycjom poszukiwawczym i wymianie między muzeami.

Na drugim piętrze znajduje się muzeum paleontologiczne stworzone ze zbiorów kompletowanych od 1919 r. W 1935 r. wydzieliło się ono z muzeum zoologicznego. Liczy ponad 2 tys. eksponatów, w większości pozyskanych z wykopalisk na Ukrainie, pokazywanych w 6 salach,



Mamut

w 106 witrynach i 5 dioramach. Ekspozycja przedstawia dzieje rozwoju roślin i zwierząt od początku życia na Ziemi do dziś. Szczególnym podziwem u zwiedzających cieszy się zrekonstruowany szkielet mamuta. Są też szkielety paleozoicznych ryb, neogenicznych ssaków, takich jak wieloryb (o długości 25 m), niedźwiedź jaskiniowy, słoń, żyrafa, tur. Są muszle, kawałki bursztynu z owadami, skamieniałe drzewa. Z zainteresowaniem ogląda się 2 szalasy zbudowane ponad 15 tys. lat temu z kości mamutów, znalezione w okolicy Czerkas i Czernihowa.



Zrekonstruowane gady mezozoiczne

Na trzecim piętrze mieści się muzeum zoologiczne, stworzone w 1919 r. przez powstałą rok wcześniej Ukraińską Akademię Nauk. Dużą część kolekcji zwierząt hitlerowcy wywieźli do Niemiec w czasie II wojny światowej. Udało się ją odzyskać. Najważniejsze eksponaty pochodzą z czasów późniejszych, z wielu ekspedycji ukraińskich zoologów po ZSRR i świecie. W 2 salach (ptaków i ssaków) oraz w długiej galerii pokazuje się tu 5 tys. okazów zwierząt (częściowo w 16 dioramach pejzażowych), począwszy od morskich gąbek i koralów, poprzez żuki, owady, ryby, płazy i gady, do ptaków i ssaków. Wśród tych ostatnich zwraca uwagę ogromny wypchany żubr, który został upolowany we włościach Potockich przed 1800 r. Ale ekspozycja to zaledwie dwudziesta część pełnych zbiorów muzeum.

Czwarte piętro – to muzeum botaniczne, które miało początek w 1921 r. Rośliny rozlokowano tu w 5 salach, zgodnie z zasadą strefowo-regionalną występowania na świecie. Dzięki nowej metodzie suszenia objętościowego pokazywane rośliny zachowują swój naturalny wygląd, a nawet kolor. Trzeba było więc ponownie zebrać w przyrodzie rośliny do ekspozycji, bo stare zbiory już nie spełniały wymogów. Aby tego dokonać w latach 1966–1995 niewielki zespół pracowników odbył ponad 50 ekspedycji krajowych i zagranicznych. Wyprawy z lat 1967–1972 badały i zbierały rośliny w różnych zakątkach Ukrainy i Związku Radzieckiego. Dzięki temu pokazano roślinność i pejzaże stepów południa Ukrainy, Karpat i Krymu oraz Uralu, okolic Bajkału, Kraju Przymorskiego, Sachalinu, Wysp Kurylskich, Środkowej Azji i Kaukazu. Później (lata 1973–1991) botanicy podróżowali statkami Akademii Nauk USRR i ZSRR badając roślinność brzegów oceanów Atlantyckiego, Indyjskiego i Spokojnego. Dzięki temu można dziś podziwiać florę z tropików, np. kwiaty i owoce baobabu, drzewa chlebowego, owoce palmy, letycji, didenii, papai. Wzrok przyciąga rekonstrukcja największego na świecie kwiatu rafflesji Arnolda. Wysuszone rośliny rozmieszczono w dioramach (7 x 3,5 x 2,7 m) na tle malarsko odtworzonych pejzaży. W muzeum botanicznym wystawiono blisko 500 naturalnych eksponatów, ponad 600 zdjęć, prawie 1000 rysunków, schematów i map roślinności, podano ponad 300 charakterystyk tekstowych. Oprócz 8 dioram jest tu 109 witryn (2,5 x 2 x 0,6 m) i 20 plansz z roślinami.



Motyle

Muzeum przyrodnicze działa w strukturze Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, a jego poszczególnymi tematycznymi oddziałami, a więc muzeami archeologicznym, geologicznym, paleontologicznym, zoologicznym i botanicznym, opiekują się odpowiednie wydziały akademii i instytuty naukowo-badawcze. Muzeum, prócz ogromnej pracy popularyzatorskiej, zwłaszcza wśród młodzieży, prowadzi również działalność naukowo-badawczą w dziedzinie przyrodoznawstwa. Bada np. wpływ czynników biotycznych i abiotycznych na stan bioróżnorodności Ukrainy na podstawie kompleksowej analizy kolekcji naukowych: faunistycznej, paleofaunistycznej, florystycznej i geoekologicznej – jak oficjalnie sformułowano naukowe cele pracy muzeum. Wydaje ono własne czasopismo naukowe (od 2001 r.), publikuje wyniki prac naukowo-badawczych. Jest największym ukraińskim muzeum przyrodoznawstwa.

Janusz Fuksa

Zamek, który dotyka nieba

Zamek wznosi się stromej skale dolomitowej (wg pomiarów do nurtu Orawy jest w pionie 112 m). Z daleka wygląda jak orle gniazdo usadowione na samym szczycie, zbudowane wbrew wszelkim prawom fizyki.

Niewiele o jego początkach wiemy. Prawdopodobnie powstał po tatarskim najeździe w 1241 r. w miejscu dawnego grodziska Łużyczan. Król Bela IV w 1267 r. przejął go od rodu Balaszów. Istniał już wtedy zamek górny, a na miejscu dzisiejszego średniego znajdowało się podgrodzie. U samego dołu stały drewniane zrębowe chałupy. Najstarszy zamek górny wybudowano na miejscu drewnianej strażnicy. Dolna jego część, z kamienia, usytuowana na samej krawędzi pionowej skały, stanowiła jakby jej naturalne przedłużenie. Górne piętra były drewniane.

Zamek pełnił funkcje obronne na pograniczu polsko-węgierskim. Droga przebiegająca u jego podnóża przewożono sól, miedź i towary do wymiany handlowej. W Polsce utarła się nazwa Zamki Orawskie, bowiem jest to prawdziwy kompleks obronny składający się z wyraźnie wyodrębnionych zamków: górnego, średniego i dolnego. Stanowił on własność królewską, zarządzający nim sprawowali zarazem funkcję żupanów orawskich. Duże zasługi w rozbudowie zamku miał Piotr Komorowski, który z nadania króla Macieja Korwina otrzymał godność żupana Orawy i Liptowa. Komorowski podwyższył zamkowe mury, a zabudowę drewnianą zastąpił murowaną. Opuścił zamek, a faktycznie go sprzedał... królowi Korwinowi! Jak to było możliwe? Najpierw go od niego otrzymał, a później mu sprzedał? Komorowski poparł projagiellońską rebelię o koronę węgierską. Powstańcy przegrali, a Maciej Korwin zajął ziemie Komorowskiego – poza zamkiem, który kupił uznając, że jego zdobywanie byłoby zbyt kosztowne.

Z punktu widzenia budowli dobrze się stało, bo Maciej Korwin zlecił jej rozbudowę, szczególnie w środkowej części. Powstał kilkupiętrowy segment pałacowo-mieszkalny dla gości i załogi oraz składy broni i sprzętu. Za rządów Korwina zamek przeszedł we władanie Zapołyów. Jan Zapołya obwołany został przez część szlachty królem Węgier w 1526 r., ale o tron dalej rywalizował z austriackim arcyksięciem Ferdynandem Habsburgiem. Przez blisko 30 lat wojna domowa niszczyła kraj, a Zamek Orawski wciąż zmieniał zarządców. Za czasów polskiego szlachcica Jana z Dębowca dobudowano wieżę strzelniczą w części



Podzamok – obraz Thomasa Endera



Podzamok – rycina L. Laufgergera

górnego zamku i dwie dalsze na zamku średnim. Na tarasach wież posadowiono kilkanaście dział zwiększając tym samym walory obronne obiektu. Zbudowano także nową bramę wejściową, a pomiędzy zamkiem dolnym i średnim – most zwodzony. Po śmierci Jana z Dębowca zamkiem zarządzał jego spadkobierca Wacław Siedlnicki, który z kolei na żądanie arcyksięcia Ferdynanda odstąpił posiadłość Franciszkowi Thurzonowi.



Rządy Thurzonów na Zamku Orawskim zaczęły się

od rozbudowy zamku dolnego i renowacji pozostałych, szczególnie zamku górnego. Orawa wraz z zamkiem stała się własnością rodową Thurzonów, po tym jak Jerzy Thurzo – zarządzający zamkiem po śmierci ojca – pozostał wierny cesarzowi Rudolfowi II podczas rebelii antyhabsburskiej. Jerzy Thurzo dalej rozbudowywał detale obronne zamku, zbudował także kaplicę, w której po śmierci został pochowany.

Na synu Emeryku skończyła się linia Thurzonów po mieczu i rozległe dobra rodzinne dostały się w spadku siedmiu córkom Jerzego Thurzo. Spadkobierczyni i ich mężowie spotkali się 5 lipca 1626 r. na zamku w Letawie. To bardzo ważna data w historii nie tylko zamku, ale także Oraw. Ustanowiono współwłasność ziemską, czyli komposesorat: obejmował on prawie całą Orawę i znaczną część Tatr Zachodnich. Na czele komposesoratu stał zarządca (pierwszym w latach 1626–48 był Gaspar Illehazy). W wyniku wyniszczających walk religijnych i powstań antycesarskich (Bethlena, Rakoczy'ego, Gaspara Pika) zamek podupadał i tracił powoli na znaczeniu. W pobliżu znajduje się wzgórze szubieniczne pamiętające powstanie Gaspara Pika, zwane przez miejscowych Szubienicą. Na wzgórzu tym w 1672 r. zostało straconych 25 sołtysów z Orawy i Liptowa wraz z przywódcą powstania. Pod koniec XVIII w. zamek stracił całkowicie znaczenie obronne, mieszkali w nim dworzacy urzędnicy oraz mieściły się biura komposesoratu.

Wręcz tragiczny dla zamku był rok 1800 – przez kilka dni trawił go pożar, spaliły się wszystkie drewniane fragmenty. W 1868 r. jego zarządca Edmund Zichy przystosował zamek do nowej funkcji, urządził w nim jedno z pierwszych muzeów na Słowacji. Równoległe z rekonstrukcją i remontem zamku rozwijano działalność muzealną, od samego początku cieszącą się popularnością. Prace przerwała dopiero I wojna światowa. Po jej zakończeniu państwo czechosłowackie wykupiło ponad 50% udziałów komposesoratu i przejęło nad nim zarząd. Po II wojnie światowej dawne węgierskie i niemieckie majątki na Słowacji zostały upaństwowione, także Oravský hrad stał się własnością państwową.

W zamku nadal trwają prace remontowe, wszyscy przyzwyczaili się do nich, ale równoległe udostępnione są do zwiedzania muzealne oddziały: historyczny, z dobrze opracowaną historią komposesoratu i rodu Thurzonów; etnograficzny, archeologiczny i przyrodniczy (z imponującą kolekcją ornitologiczną Antoniego Kocyana). Jest co zwiedzać. Rokrocznie sezon turystyczny otwiera jarmark rzemiosł dawnych i pochód w historycznych kostiumach upamiętniający powrót Jerzego Thurzo na zamek. Orawskie Podzamcze (Oravský Podzámok) leży niespełna 50 km od przejścia granicznego w Chyżnem.

Ryszard M. Remiszewski

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Już marzec, a więc...

...prawie wiosna, a jeśli wiosna, to znak, że trzeba odspawać się od pilota telewizyjnego i wyjść z domu. Odspawać się trzeba także od samochodu, gdy nie jest niezbędny, od podjadania między posiłkami i od innych czynności, które, choć przyjemne, mają niedobry wpływ na kondycję i stan zdrowia. Przecież już niedługo jedziemy w góry. Ale, ale, do kogo ta mowa? Wszak Czytelnicy NS nie spędzają zimy w fotelach z torbą chip-sów na kolanach. Czy wszyscy i czy aby na pewno? Niestety nie, a jest to spowodowane niekoniecznie leni-
stwem, ale czynnikami zewnętrznymi, wymuszającymi niektóre zachowania, jak choćby nieustanne korzy-
stanie z samochodu. Powodem jest najczęściej rodzaj pracy, choć z drugiej strony – wiele zawodów, które
wykonywane są od dziesięcioleci i wcześniej, niekoniecznie wymaga przemieszczania się własnym pojazdem.
Chyba prawie wszyscy o tym zapomnieli. Przecież przed boomem motoryzacyjnym też ludzie żyli i praco-
wali, też musieli przemieszczać się po mieście. Wymagało to przejścia na przystanek komunikacji publicznej
albo spaceru do miejsca pracy. Jednak tempo życia oszalało i mało kto potrafi świadomie się temu przeciwsta-
wić. To wszystko sprawia, że marnieje nasze zdrowie i fizyczne możliwości organizmu, a przecież chciałoby
się spędzić aktywnie urlop: w górach, na rowerze, na kajaku...

Wiele osób dba o kondycję ćwicząc na siłowni, pływając na basenie, biorąc udział w zajęciach fitness
i podobnych, inni nie porzucili na zimę roweru, jeszcze inni **regularnie chodzili i chodzą na piesze wycieczki**.
Ci są w najlepszej sytuacji, ponieważ cały organizm jest „w ciągu”, przyzwyczajony do wysiłku podob-
nego, jak na górskiej wycieczce lub wielodniowej wyprawie. Dlaczego? Chodzi o rodzaj wysiłku. Ten po-
dejmowany na pieszych wycieczkach, choćby w okolicy miejsca zamieszkania, jest najbardziej zbliżony do
wysiłku w górach. Nie ma elementu pokonywania dużych różnic wysokości, w większości przypadków, ale
mimo wszystko taki wysiłek jest najkorzystniejszy. Pracują nogi, stawy kolanowe, stopy obciążone właści-
wym obuwiem, ramiona obciążone plecakiem, choćby niedużym. Wszystko przypomina marsz po górskich
ścieżkach. Także długotrwałość takiego wysiłku jest zbliżona do tego, co czeka turystę podczas urlopowej wy-
prawy. Przeciętny turystyczny dzień to 4–8 godzin wysiłku, podobnie długie bywają sobotnie czy niedzielne
wypady w teren, za miasto. Tego nie daje godzina na siłowni czy na basenie. Owszem, takie ćwiczenia utrzy-
mują wydolność i ogólną kondycję, ale nie zastąpią aktywności podobnej do pieszej wędrówki. Ćwiczenia
w lekkim obuwiu gimnastycznym to nie to samo, co kilkugodzinny marsz w turystycznych butach. **Zacznij-
my więc trenować.**

Jeśli sezon turystyczny trwa u kogoś cały rok, nie bę-
dzie problemu ze wzmożonym wysiłkiem w górach. Jeśli nie,
a są chęci do treningu, nie za-
czynajmy od „wysokiego C”,
lecz spokojnie, bez zrywów
i do granic zmęczenia. Zakła-
dając, że znajdzie się czas na
sobotnią lub niedzielną wy-
cieczkę w teren, przypomnij-
my sobie, że mamy dwie nogi,
które służą nie tylko do naci-
skania pedału gazu, sprzęgła
i hamulca. Wystarczy zorien-
tować się jak wygląda przebieg
linii komunikacyjnych pu-
blicznego transportu i wybrać



Każda górka jest dobra do treningu. Fot. T. Perlik

taką, która pozwoli na dotarcie do miejsca pracy, nauki czy na zakupy. To wymaga dojścia na przystanek, a zatem mamy pierwszy krok zrobiony. Przez tydzień, dwa, chodzimy dwa razy dziennie, co prawda najwyżej 500 m, ale to już jest więcej niż do garażu lub na osiedlowy parking. Przychodzi dzień wolny. Wyciągamy z szafy ubiór zbliżony do turystycznego, zakładamy także buty i wychodzimy z domu. Na początek niech to będzie dwugodzinny spacer bez obciążenia. Mija kolejny tydzień bez samochodu. Znowu ubieramy się turystycznie i pakujemy mały „jednodniowy” plecak. Jakies kanapki, coś słodkiego, termos, dodatkowy polar i kurtka przeciwdeszczowa



Na wydmach koło Torunia. Fot. J. Wystouch

na razie wystarczą. Sprawdzamy na internetowej stronie naszego miejskiego przewoźnika, jak najkorzystniej dojechać do granic miasta. Pieszko udajemy się na właściwy przystanek i jedziemy tak daleko, jak się da, byle jak najbliżej lasu, łąk, pól, itp. Tym razem wycieczka powinna być nieco dłuższa, nie mniej niż trzygodzinna. Ale dokąd się udać? **Wszędzie, wokół każdego miasta, mniejszego czy dużego, można znaleźć ciekawy teren do wędrówki, nawet na nizinach.** Cel wycieczki może podpowiedzieć mapa okolicy; wielce pomocna jest popularna przeglądarka internetowa o nazwie zaczynającej się na „G”. Tam znajdziemy dość aktualny obraz okolicy. Reszta zależy od naszej wyobraźni. Powrót do domu przy pomocy komunikacji publicznej i własnych nóg. Po takiej wycieczce nasza wiedza o tym, jak reagują na długotrwałe obciążenie stopy, kolana czy ramiona jest o niebo większa, niż jeszcze dwa tygodnie temu. Pozwala ona na przygotowanie się do kolejnej wycieczki, dłuższej i bardziej wyciążającej. Jeszcze nie pora na nią, jeszcze ze dwa razy pójdźmy na wyprawę, jak wyżej opisana. Wreszcie następuje właściwy trening wydolnościowy i wytrzymałościowy. Wyciągamy plecak wyprawowy, ten który zabierzemy później w góry, i pakujemy do niego to, co będzie na wyprawie lub **wagowy i objętościowy ekwiwalent wyposażenia.** Żeby nie przesadzić, powtarzamy jakąś niedługą 2–3 godzinną trasę w terenie. Obserwujemy, jak zachowuje się nasz organizm. Dobrze jest przysłuchać się pracy serca, a bezpośrednio po powrocie sprawdzić ciśnienie krwi. Tydzień później, z takim samym obciążeniem ruszamy na dłuższą trasę, nie krótszą niż 4-godzinna, powtarzamy ją jeszcze raz po tygodniowej przerwie. Taki trening, składający się z 5–6 wycieczek o narastającej długości i stopniu trudności, da nam pojęcie o kondycji i własnych możliwościach fizycznych. Reszta zależy od wyposażenia, doświadczenia, stanu zdrowia i motywacji. Życzę wytrwałości w treningu.



Juliusz Wystouch

Na stromym brzegu Prawisły. Fot. J. Wystouch

Prognoza pogody według mądrości ludowej, czyli o czym warto pamiętać ruszając na szlak

Człowiek niemal od zawsze próbował przewidzieć pogodę. To wszak od niej zależało, czy będzie urodzaj zbóż, czy też klęska. Z wielką uwagą obserwowano więc zjawiska atmosferyczne, próbowano wróżyć z wiatru i zachowania zwierząt czy roślin. Cała ta wiedza zgromadzona na przestrzeni dobrych kilkuset lat, a składająca się na mądrość ludową, może być ważnym źródłem informacji dla współczesnego turysty wyruszającego na szlak.

Przeanalizujemy pokrótce krótkoterminowe prognozy pogody na podstawie obserwacji słońca, księżyca, chmur, nieba, zaś w dalszej kolejności na podstawie obserwacji świata roślin i zwierząt.

Krótkoterminowe prognozy pogody na podstawie obserwacji słońca, księżyca, gwiazd, chmur

Słońce, księżyc

Znane są przysłowia: Halo wokół *słońca lub księżyca, deszczu albo śniegu obietnica* oraz *Księżyc w li-siej czapie, wnet ci na głowę nakapie*. Halo wokół *słońca albo księżyca jest warstwą chmur typu Cirrostratus, utworzonych z kryształków lodu. Te kryształki działają niczym małe pryzmaty, tworząc białą*, a czasami kolorową aureolę wokół *słońca lub księżyca. Zjawisko to prognozuje zbliżanie się ciepłego frontu atmosferycznego i niskiego ciśnienia. Opady deszczu czy śniegu są wówczas bardzo prawdopodobne*, zaś im taka aureola jest jaśniejsza, tym prawdopodobieństwo opadów większe.

Gwiazdy

Przysłowie powiada: Gdy się gwiazdy w kupę mieszczą, wtedy zwykle deszcz nam wieszczą. Gdy pojawiają się na niebie chmury, całe grupy gwiazd są przez nie przysłonięte, natomiast gwiazdy, które są jeszcze nieprzysłonięte sprawiają wrażenie, jakby się tłoczyły na niebie. To oznaka zbliżającego się deszczu.

Chmury

Gdy chmury wysoko wędrują, ładną pogodę zwiastują. Chmury pojawiające się na dużej wysokości oznaczają nadejście suchego powietrza, jak i wysokiego ciśnienia atmosferycznego. Te dwa zjawiska wróżą ładną pogodę.

Dym

Gdy dym na dół wędruje, wnet się pogoda zepsuje. Zmiana ciśnienia i wilgotności powietrza przed burzą nie pozwala na swobodne unoszenie się dymu z kominów, a w końcu doprowadza do powstania wirów powietrznych, które spychają dym do powierzchni ziemi.

Krótkoterminowe prognozy pogody na podstawie obserwacji zachowania zwierząt i roślin

Jaskółki

Ich zachowanie to chyba najbardziej popularny zwiastun pogody. Kiedy latają wysoko poszukując owadów, będzie ładna pogoda. Z kolei ich niski, nerwowy lot zwiastuje pogorszenie pogody w ciągu dnia – należy spodziewać się opadów deszczu. Natomiast gdy jaskółki latają w sposób naprzemienny – czyli raz wznoszą się, a raz opadają – wróży to burzę.

Skowronki

Ich piękny śpiew zawsze zapowiada piękną słoneczną pogodę.

Muchy

Muchy są bardziej dokuczliwe przed nadejściem deszczu lub burzy. Nie zawsze ta przepowiednia się sprawdza, ale w większości przypadków tak właśnie jest. Kiedy obniża się ciśnienie atmosferyczne, ciało człowieka wydziela więcej zapachów. To sprawia, że muchy lecą za nami niczym chmura.

Świerszcze

Wędrując szlakiem wśród górskich łąk często słyszymy cykanie świerszczy. Ich szybsze cykanie oznacza napływające ciepłe powietrze i odwrotnie – cykają wolniej, kiedy zbliża się ochłodzenie.

Krowy

Ludowe przysłowie powiada: Krowom ogony na wschód dyndają, niebawem deszcze popadają. Niejednokrotnie wśród beskidzkich łąk obserwujemy pasące się krowy. Warto pamiętać, że krowa pasie się zwróconą ogonem do wiatru. Pozwala jej to zauważyć napastnika, mającego zamiar podejść do swej ofiary pod wiatr, aby nie zdradził go zapach. Kiedy ogon krowy zwrócony jest na wschód, prognozuje to nadejście deszczu, natomiast gdy skierowany jest na zachód zwiastuje ładną pogodę.

Konie

Zwierzęta te coraz trudniej spotkać w górach, ale również na podstawie ich zachowania można wywróżyć pogodę. Otóż gdy koń parska, chrapie, porusza szybko głową albo kładzie się na ziemi, jest to niechybna oznaka nadchodzącego załamania pogody.

Pająki

Jeśli pająki są wyraźnie widoczne podczas tkania pajęczyny, stanowi to oznakę ładnej pogody.

Liście

Kiedy liście ukazują swój spód, będzie padało.

Nagietek, malwa łąkowa, fiołek, koniczyna

Gdy kwiaty te zamykają płatki, zwiastuje to nadchodzący deszcz.

Stokrotka, rzeżucha łąkowa

Kiedy pochylają się ku ziemi, nadejdą opady deszczu.

Kurzyślep (ptasia mięta)

Z zieleńmi tym związane jest porzekadło: Kurzyślepie, powiedz przecie, ładnie czy brzydko będzie na świecie. Kiedy wilgotność powietrza wynosi około 80%, kwiat kurzyślepu zamyka się, co zwiastuje deszcz. Z kolei gdy kurzyślep otwiera się, prognozuje to śliczną, słoneczną pogodę.

Umiejętność przewidywania pogody w oparciu o mądrość ludową niejednokrotnie może być bardzo przydatna i to zarówno w górach, jak i na nizinach. Przekonajmy się o tym sami ruszając na szlak.

Sebastian Jakobschy

Wyrypa z Prehybą w tle

Zdobyliśmy górę.
Wreszcie się skończyło
wspinanie po kamieniach.
Jasne. Świetnie było.

O! Nareszcie schronisko!
Wreszcie chwila wytchnienia!
Dla nóg przynajmniej,
bo trzeba się przecież zabrać do jedzenia.

Ale kto by się z tym liczył?
Z zołądkiem? Z nogami?
Trzeba piersią chłonać wiatr
i góry zdobywać. Szlakami.

Więc pada komunikat:
„Za 5 minut ruszamy!”
Z powrotem – czyli na dół,
już się nie zmachamy.

Ale czy to zmęczenie,
czy to myśli ponure –
no bo jak to jest: schodząc z góry
idziemy znowu pod górę?

No już. Teraz niemal płasko,
dość gładko, bez kamieni,
a przed nami? Znowu w górę?
Nie! No, kiedy to się zmieni!?

Chyba teraz – bo stajemy.
Coś nie tak – „trzeba zawrócić”
do ominiętej krzyżówki
i na prawo w dół się rzucić.

I dojsć do drogi obiecanej,
szerokiej, pewnej, uroczej.
I już bez niespodzianek na niej,
do kwatery spokojnie kroczyć.

Od razu pięknym zachodem
droga ta nas zachwyca,
choć niżej, w świetle latarek
widnieje złowroga tablica.

Tablica pomarańczowa,
w nieturystycznym kolorze.
Na niej jakaś 13,
to nas obchodzić nie może.

Już bardzo długo idziemy,
już bardzo zmęczone nogi.
Zakola to w prawo, to w lewo,
lecz kresu nie widać drogi.

O! Czyżby? Światła latarni?
Czyżby przed nami ulica?!
Zmęczenie nas rzuca na boki.
Jest wytrzymałości granica!

Latarnie – to bliskość kwatery!
Już domy i coraz gęściej,
i łóżko, i picie, i mycie,
to turystyczne szczęście.

Nie bardzo już ruszam nogami,
lecz oko działa prawidłowo,
więc jeszcze z pasją turysty
zmęczoną ruszam głową.

I widzę domy nowe
na podwyższonej ulicy,
ale nie tak tu mieszkali
dawni osadnicy.

Oto niżej, przy samej rzeczce
chata ze strzechą stoi.
Ciemne okienka i wrota,
bo nikt już nie wchodzi do niej.

Znów nieco dalej, nad wodą,
dziś już nieważny dom,
a był pradziadków kolebką
i patronował ich snom.

I oto wreszcie nasz dom!
Już jesteśmy w nim.
A co znaczyła tamta 13 przy drodze,
teraz to już mniejsza z tym.

*Karyna Drzewiecka
Prehyba / Toruń 2017*



Region jeleniogórski na Tour Salonie 2018

W dniach 9–11 lutego 2018 r. w Poznaniu odbyły się Targi Regionów i Produktów Turystycznych. Nasz region był reprezentowany przez Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Związku Gmin Karkonoskich. Pracownia, za zdobycie w zeszłym roku II miejsca w Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej (za cykl wydawniczy „Zeszyty Historyczne”), otrzymała możliwość bezpłatnego wystawienia się na stoisku Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. W związku z tym prowadzący Pracownię Krzysztof Tęcza oraz wolontariusze – Anna Tęcza, Tomasz i Dorota Łuszczyńscy – zachęcali widzów do odwiedzania Karkonoszy i okolic. Wszyscy przedstawiali walory krajoznawcze naszego terenu i odpowiadali na tysiące pytań o historię, ciekawe obiekty czy możliwości noclegów oraz dojazdu do Jeleniej Góry. Firmy i instytucje, poproszone o stosowne materiały, bardzo chętnie udostępniły wiele publikacji, folderów i innych materiałów reklamowych. Niektóre przekazały ciekawe eksponaty historyczne związane z działaniami podejmowanymi lata temu. Firma WióRaMa użyczyła pięknego modelu pałacu Paulinum, a Grupa Karkonoska Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wypożyczyła bardzo ciekawe elementy starego ekwipunku używanego przez ratowników kilkadziesiąt lat temu.

Największym zainteresowaniem wśród publiczności cieszyły się przekazane przez Karkonoski Park Narodowy publikacje dotyczące przyrody Parku. Wydawnictwa KPN, wykonane z wielką starannością, a do tego o bardzo rzetelnej treści, pozwalają na zapoznanie się z różnymi walorami Parku, a także zachęcają do planowania wycieczek w nasze strony, by na własne oczy przekonać się, że pokazywane osobliwości naprawdę istnieją i są takie piękne. Duże zainteresowanie wzbudziły egzemplarze wydawanego przez Karkonoski Park Narodowy czasopisma Sudetów Zachodnich „Karkonosze”, którego współedytorem jest Związek Gmin Karkonoskich.

Nie mniej ciekawe publikacje przekazał Dolnośląski Zespół Parków Krajobrazowych, miasto Jelenia Góra czy Starostwo Powiatowe w Jeleniej Górze. Zaprezentowali się także: Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej, Pałac Pakoszów, Pałac Wojanów, Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu,



Huta Julia w Piechowicach, Filharmonia Dolnośląska w Jeleniej Górze, Muzeum Karkonoskie, miasta Kowary i Karpacz. Bardzo bogatą ofertę przekazali nasi sąsiedzi z Czech, a także jeleniogórskie wydawnictwo Ad Rem. Oczywiście swoje wydawnictwa prezentował również Związek Gmin Karkonoskich i Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy działająca w Związku. Zaprezentowano ponadto oryginalny produkt regionalny, jakim jest Likier Karkonoski.



Według szacunków, przez targi przewinęło się kilka tysięcy widzów, co jest dosyć dobrym wynikiem. Wielu z odwiedzających poszczególne stoiska deklarowało chęć odwiedzenia Kotliny Jeleniogórskiej.

W sobotę 10 lutego 2018 r. najważniejszym wydarzeniem było uroczyste wręczenie nagród przyznanych w ramach 26. Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej organizowanego przez Międzynarodowe Targi Poznańskie, Samorząd Województwa Wielkopolskiego i Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Przegląd został objęty patronatami honorowymi: Ministerstwa Sportu i Turystyki, Polskiej Organizacji Turystycznej, Marszałka Województwa Wielkopolskiego, Polskie Towarzystwo Wydawców Książek i Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Właściwą imprezę przygotowała Centralna Biblioteka PTTK im. Tadeusza Kulwiecia w Warszawie, w której też obradowało jury Przeglądu pod przewodnictwem prof. dr. hab. Janusza Zdebskiego.

Publikacje zgłoszone do Przeglądu oceniane były w kilku kategoriach: albumy krajoznawcze, przewodniki, monografie oraz inne opracowania krajoznawcze, mapy i atlasy, wydawnictwa dla dzieci, informatory krajoznawcze. W poszczególnych kategoriach pierwsze miejsca zajęły: album „O tatrzańskich pocztówkach”; przewodnik „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie”; opracowania „Bojkowszczyzna zachodnia – wczoraj, dziś i jutro” i „Dzieje zabawek dziecięcych na ziemiach polskich na początku XX wieku”; mapa „Trójkąt Lidzbarski: mapa turystyczna fortyfikacji na terenie Nadleśnictwa Zaporowo. Odcinek 1: Frombork – Płoskiński Młyn”; cykl wydawniczy dla dzieci – „Podróżownik”, a w nim „Świętokrzyskie”, „Tatry i Pieniny”, „Warmia i Mazury”, „Wybrzeże Polski”; informator krajoznawczy „Love W_M. Przegląd turystyczny. Kocham Warmię i Mazury”.

Miło mi donieść, że wśród nagrodzonych są także pozycje z naszego terenu: II miejsce wśród przewodników zdobył „Architectural Guide: Wrocław”, Wydawnictwo DOM publishers, Berlin 2017; III miejsce otrzymał zestaw map Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych, Wydawnictwo Kartograficzne Eko-Graf, Wrocław 2017.

Wśród wyróżnień Dyplom Prezesa PTTK przyznano pozycji „Kamienne krzyże na Śląsku, Górnych Łużycach i ziemi kłodzkiej” wydanej przez Oficynę Wydawniczą ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2017.



Dyplom Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK przyznano Wydawnictwu Poligrafia Ad Rem z Jeleniej Góry za przewodnik emocjonalny „Miedzianka. Przewodnik po mieście, którego nie ma”. Nagrodę odebrała właścicielka wydawnictwa Regina Chrześcijańska oraz autor przewodnika Jarosław Szczyżowski.

Krzysztof Tęcza

Nanga Parbat 1982

Na rynku księgarskim ukazała się niedawno książka-album „Nanga Parbat 1982. *In memoriam* Tadeusz Piotrowski” wydana przez zasłużone dla literatury górskiej katowickie wydawnictwo Stapis. Jest to już trzecia pozycja opublikowana w serii „*In Memoriam* Tadeusz Piotrowski”. Całość opracowała Danuta Piotrowska. Publikacja stanowi uzupełniony o piękne czarno-białe zdjęcia reprint książki „Naga Góra. Nanga Parbat” wydanej w 1990 roku (Wydawnictwo „Sport i Turystyka”).

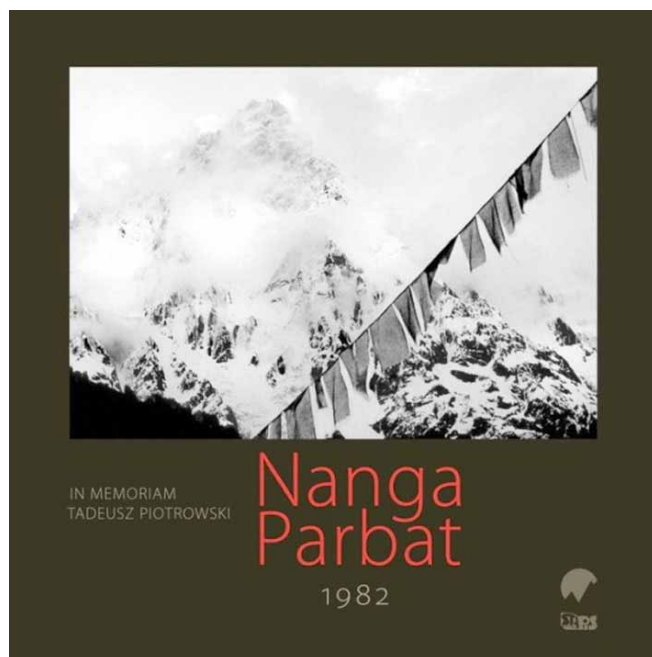
Warto tu przypomnieć postać Tadeusza Piotrowskiego (1940–1986), który był zaliczany do najwybitniejszych alpinistów i himalaistów. Do jego największych osiągnięć należy pierwsze wejście zimowe na najwyższy szczyt Hindukuszu Afgańskiego Noszak (7492 m). Piotrowski zdobył go w lutym 1973 roku razem z kierownikiem ekspedycji Andrzejem Zawadą. Wyprawa ta zapisała się złotymi zgłoskami w historii himalaizmu rozpoczynając tym samym nową dyscyplinę – zdobywanie najwyższych szczytów świata zimą, co, jak doskonale wiemy, stało się polską specjalnością i pozostało nią do dnia dzisiejszego. Innym wybitnym osiągnięciem Tadeusza Piotrowskiego było pierwsze wejście zimowe na Api (7132 m) w Himalajach Nepalu. Również znaczącym osiągnięciem było wytyczenie nowej drogi na południowej ścianie K2 (8611 m) w 1986 roku. Tadeusz Piotrowski razem z Jerzym Kukuczką byli pierwszymi polskimi mężczyznami zdobywcami tej góry, przypomnijmy – uchodzącej za najtrudniejszą spośród wszystkich ośmiotysięczników. Kolejnym sukcesem Piotrowskiego było pierwsze wejście na Distaghil Sar East (7700 m) w Karakorum w 1980 roku.

Książka „Nanga Parbat 1982” relacjonuje przebieg międzynarodowej wyprawy z 1982 roku na leżący w Pakistanie ośmiotysięcznik Nanga Parbat (8125 m). Ekspedycję zorganizował Karl Herrligkoffer, a uczestniczyli w niej: Polacy – Tadeusz Piotrowski i Andrzej Bieluń (partner górski), Szwajcar Ueli Buhler, Niemcy – Hartmut Munchenbach i Schorsch Ritte oraz Pakistańczyk Nadir. W czasie tej wyprawy dokonano próby wytyczenia nowej drogi południowo-wschodnim filarem w ścianie Rupal docierając do wysokości ok. 7950 m. Tadeusz Piotrowski zginął tragicznie odpadając od ściany K2.

Recenzowana książka „Nanga Parbat 1982. *In memoriam* Tadeusz Piotrowski” bez cienia wątpliwości winna znaleźć się na półce każdego szanującego się czytelnika literatury górskiej. Pozycja to wyjątkowa, a materiał zdjęciowy budzi jednocześnie podziw i respekt. W książkę można zaopatrzyć się w dobrych księgarniach, empikach, a także zamówić bezpośrednio ze strony internetowej Wydawnictwa Stapis: www.stapis.com.pl.

Sebastian Jakobschy

„Nanga Parbat 1982. *In memoriam* Tadeusz Piotrowski”, oprac. Danuta Piotrowska, Format 22x22 cm, oprawa twarda, Wydawnictwo Stapis, Katowice 2017



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Nietypowy początek, czyli „Po kolei”

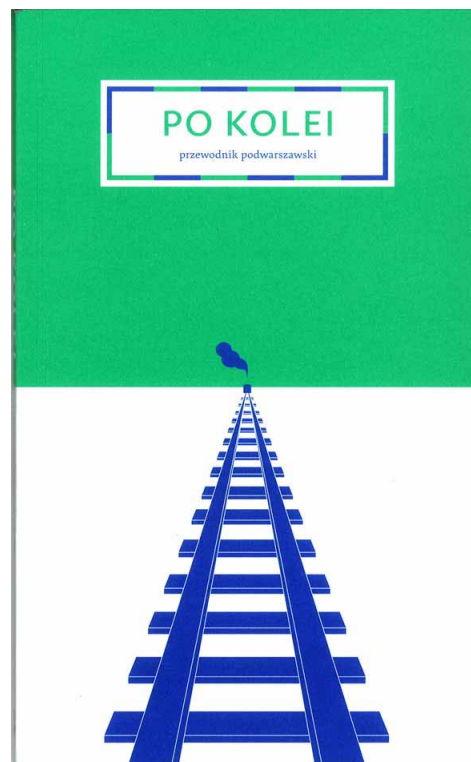
W istocie „z zaskoczenia” zaistniało w Warszawie jako tzw. inicjatywa oddolna... Towarzystwo Krajoznawcze „Krajobraz”. A może bardziej odpowiednie byłoby określenie: świetny, nietypowy – czy po prostu inteligentny – pomysł? Tym bardziej godny zainteresowania, że jego twórcy i uczestnicy w niewielkim stopniu powołują się na tradycję i swych poprzedników, ale zajęli się skutecznie swoim pomysłem, czyli uprawiają turystykę krajoznawczą.

Ich pierwsze osiągnięcie to kilkadziesiąt owocnych wędrówek 26 osób w klasycznym stylu. W ten banalnie prosty sposób poszli drogą znaną od co najmniej 120 lat – z miasta na wieś, tam, „gdzie woda czysta i trawa zielona”. Bo w istocie turystyka to stary pomysł mieszczuchów, by poszukiwać (i znajdować), co ciekawego jest tam, gdzie nie ma murowanych domów i brukowanych ulic. Szukali i znaleźli: rzadkiej urody miejsca, rzeczy, obiekty z dawnych czasów i całkiem współczesne, poznali ciekawych ludzi i dowiedzieli się o ich niebanalnych dokonaniach.

Tak doszło do napisania i wydania „Po kolei. Przewodnika podwarszawskiego” (2017). Dochodzili, ale najpierw dojeżdżali, do 18 stacji i przystanków kolejowych w tyłuż miejscowościach, na 8 liniach podmiejskich kolei prowadzących z Warszawy „do pól, lasów i łąk”, czyli do niby znanych, a częściej cieszących się opinią mało ciekawych, punktów na mapie. Co – oczywiście – od dawna było i jeszcze raz okazało się nieprawdą. Te mało znaczące punkty na mapie, to z reguły atrakcje, przez nielicznych odkrywane na nowo co kilkadziesiąt lat i uznawane za perełki krajoznawcze na mapie naszego kraju, a w tym przypadku – bliskich okolic podwarszawskich.

We wstępie do pierwszego przewodnika – z zapowiedzianego cyklu – napisali o sobie: *W Towarzystwie Krajoznawczym inspirujemy się przedwojennym ruchem krajoznawczym, chcemy promować świadome poznanie Polski oraz gromadzenie szerokiej i krytycznej wiedzy dotyczącej jej krajobrazu kulturowego, przyrodniczego i historycznego. Cel tyleż ambitny, co nietypowy w tzw. obecnych czasach, kiedy o wszystko łatwo, a na pewno łatwiej niż dawniej. Wycieczkę można sobie kupić, a mało kto wie, że za udział w wycieczkach starego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, trzeba było niewiele, ale jednak zapłacić.*

Nieco dalej we „Wstępie” czytamy: *Dla pierwszych krajoznawców wycieczki były jednocześnie romantycznym metafizycznym doświadczeniem i pozytywistyczną misją krzewienia wiedzy o kraju, szczególnie wśród młodzieży. Przyczyniały się one do zacieśnienia relacji, zarówno między samymi krajoznawcami, jak i odwiedzanymi miejscami, i spotykanymi tam ludźmi. Nic dodać, nic ująć, innymi słowy – powrót do korzeni. Okazało się, że teraz własny kraj „za rogatkami” trzeba odkrywać tak samo, jak sto lat temu. Skąd nawrót do starej idei? Towarzystwo związało się z Pracownią Badań i Innowacji Społecznych „Stocznia”. A „Stocznia” to zespół niespełna trzydziestu osób umiejących ze sobą współpracować i uzupełniających się umiejętnościami. Mamy zróżnicowane kompetencje, wiedzę, zainteresowania, a także własne poglądy na różne kwestie. Są wśród nas socjologowie, politolodzy, historycy, kulturoznawcy, ekonomiści... Pracownia „Stocznia” powstała w celu krytycznego i rzetelnego opisywania wyzwań dotyczących życia społecznego w Polsce oraz poszukiwania i upowszechniania skutecznych, innowacyjnych i opartych na partycypacji obywatelskiej metod reagowania na nie. Pracownia zaprasza do współpracy organizacje pozarządowe, instytucje publiczne, jednostki samorządu terytorialnego i firmy komercyjne, które zainteresowane są diagnozowaniem społeczności lokalnych, badaniem ich potrzeb. Wspiera procesy podejmowania decyzji dotyczące nowych rozwiązań z uwzględnieniem potrzeb odbiorców oraz udoskonala już istniejące usługi, programy i produkty. Dostarcza wiedzy eksperckiej dotyczącej badań społecznych z Polski i ze świata. Ale choć ten zbiór słów można czytać jak slogany i hasła, to rodzi się zaraz pytanie: dlaczego turystyka krajoznawcza? Ano dlatego – czytamy w cytowanym „Wstępie” – że *W każdej [z odwiedzonych miejscowości] rozmawialiśmy z mieszkańcami i członkami lokalnych stowarzyszeń oraz instytucji. Zatem wyjaśniło się, w jaki sposób grupa wolontariuszy znalazła ścieżkę, czy może już drogę, do starych zasad, od ponad stulecia przetartą, często oznakowaną i opisaną po wielokroć, do uprawiania krajoznawstwa i regionalizmu. Zgodnie z kanonem: *Poznaj swój kraj i przekaz tę wiedzę innym. I – dodajmy – pomóż innym działać nowocześnie, umiejętnie i skutecznie. Autorzy przedstawianego „Po kolei. Przewodnika podwarszawskiego” zapewniają: *Staramy się unikać pułapki patrzenia z góry, z wielkomięjskim naiwnym zachwytem. Szukamy równowagi między spojrzeniem z perspektywy turysty-observatora a spojrzeniem od wewnątrz.****



czyli wędrówek skuteczniejszych z tym przewodnikiem, nawiązującym – mniej lub bardziej świadomie – do metody dawnych krajoznawców, zgodnie z zasadą *Poznaj swój kraj*.

Na tylnej okładce jest notka: *Na miejscu* [czyli na tych stacjach, od których zaczynali wędrowanie] *zwieździliśmy znane i mniej znane atrakcje, rozmawialiśmy z mieszkańcami oraz pasjonatami* [spraw lokalnych tych przysłowiowych „małych ojczyzn”]. W „Po kolei...” znalazło się to, co tam warto zobaczyć, czego warto się dowiedzieć, a nie tylko zaliczać kilometry, oglądać znaczne budowle, czy nawet odkrywać niezwykle krajobrazy... I w każdej z 18 miejscowości Autorzy odkrywali na nowo (?), a przede wszystkim dla siebie, jakąś osobliwość, czyli perełkę krajoznawczą. Zatem wypada dodać, że taka formuła krajoznawstwa to sposób na pomnożenie swej wiedzy o kraju, czynności w istocie kreatywne, rozwijające osobowość.

„Po kolei. Przewodnik podwarszawski” ma niewątpliwe zalety: jest poręczny, niewielki, opowiada o wybranym terenie dostępnym za pomocą połączeń kolejowych. Publikacja jest dwukolorowa – fioletowa i zielona; ma wiele wyrazistych ilustracji graficznych (co może sprawić czytelnikowi niespodziankę i przyjemność). Da się ją czytać „od deski do deski” albo nie po kolei, od końca lub dowolnie wybrane ze spisu treści rozdziały. Innymi słowy: to przewodnik nietuzinkowy, przypominający, że możliwe jest krajoznawstwo kolejowe. Dla czytelników ważna może być zachęta do czytania w dowolnej kolejności także tekstów fioletowych, podobnie jak podanych drukiem zielonym, choć barwa druku może być męcząca dla wzroku.

Wypada wspomnieć, że pierwowzorem (choć nie wiem, czy Autorzy znają ten przykład) był wydany w 1926 r. przez Ministerstwo Kolei dwuczęściowy „Ilustrowany przewodnik kolejowy: Polska – część południowo-zachodnia” (nakład 25 tys. egz.) i „...Polska – część południowo-wschodnia”, opracowane przez dr. Mieczysława Orłowicza, pioniera polskiej turystyki, dziennikarstwa turystycznego, pierwszego polskiego urzędnika do spraw turystyki i sportu, autora licznych publikacji krajoznawczych i turystycznych, w tym ponad 150 przewodników. Autorami ilustracji fotograficznych byli wybitni fotografowie-krajoznawcy, m.in. Jan Bułhak i Henryk Poddębski, Jan Jaroszyński, Ignacy Krieger, Zdzisław Marcinkowski.

Przewodnik „Po kolei...” grupy Autorów z Towarzystwa Krajoznawczego „Krajobraz” nie tylko zawiera rzeczowe informacje; o jego walorach świadczy także dobór i podawanie faktów istotnych dla krajoznawcy. Wyróżnia przede wszystkim obiekty nietypowe, zapomniane, osobliwości o znaczeniu lokalnym i w skali polskiej, europejskiej i światowej. Ot, chociażby w Sulejówku znajdziemy dwie szkoły podstawowe, jedno gimnazjum, towarzystwo strzeleckie, spółdzielnię rzemieślniczą, ulicę i muzeum biograficzne – wszystkie noszące imię Józefa Piłsudskiego. Jest jeszcze Kopiec Współtwórców Niepodległej, czyli Piłsudskiego, Moraczewskiego, Paderewskiego, Grabskiego i Rataja. Budowa muzeum poświęconego Naczelnikowi, to osobliwy stadion wyścigowy – dla ślimaków.

Autorzy mają na uwadze oczywistość: odkąd wymyślono kolej żelazną, szlaki krajoznawcze są wyznaczone przez tory kolejowe, także w okolicach Warszawy. Zaznaczyli we wstępie do swego przewodnika, że inspirowani są przedwojennym ruchem krajoznawczym, chcą *promować świadome poznawanie Polski [...] jej krajobrazu kulturowego, przyrodniczego i historycznego*. Zatem nic dziwnego, że na terenie szpitala psychiatrycznego w Tworkach (Pruszkowie) znaleźli przedszkole w dawnej cerkwi zbudowanej w stylu ormiańskim. Podobnie zaskakujące może być istnienie w Grodzisku Mazowieckim (stacja Grodzisk Radońska), Muzeum Elektrycznej Kolei Dojazdowej (zbudowanej w latach 1924–1927), w niepozornym drewnianym baraku. Wśród eksponatów jest zegarek marki Tissot, jaki każdy motorniczy kolejki miał na wyposażeniu (od pracodawcy).

Jadąc w celach krajoznawczych do Tuszczu nie należy pytać: *Panie, ten pociąg na Tuszcz?* – bo można dostać odpowiedź: *Na pąk!* W pałacu w Chrzęsnem można dowiedzieć się, że Cyprian Kamil Norwid był nie tylko poetą, ale również malarzem, rzeźbiarzem i filozofem. W tym kolejarskim mieście działała też huta szkła, w której produkowano m.in. klosze do lamp naftowych, naczynia apteczne i muchołapki, manierki wojskowe i butelki do piwa. Nic dziwnego, że jest w mieście ulica Szklana. A kim była Baśka Murmańska i czy to prawda, że w 1919 r. brała udział w defiladzie na Placu Saskim (dziś Zwycięstwa), można dowiedzieć się na ogromnym terenie twierdzy w Modlinie.

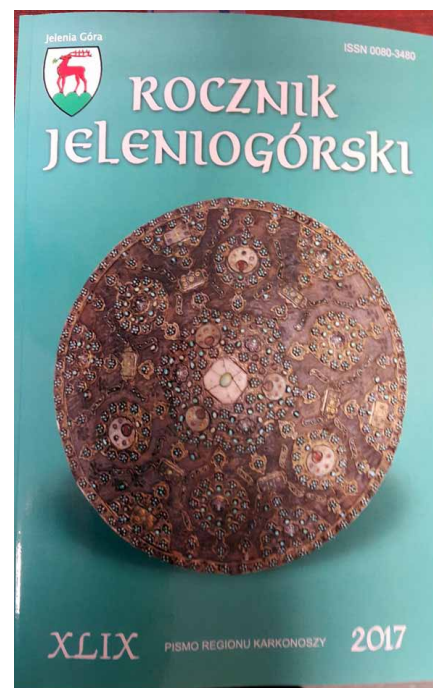
Bardzo dawno temu Otwock, zbudowany pośród sosnowych lasów i na piaszczystych wydmach, był jednym z najważniejszych polskich uzdrowisk „dla chorych piersiowo”, czyli gruźlików. W 1895 r. zaistniało pierwsze sanatorium stworzone przez rodzinę żydowską Przygodów, a miasto do 19 sierpnia 1942 r. w 75% zamieszkiwali Żydzi. Miejscowość słynna z krystalicznego powietrza jest dziś miejscem pamięci po totalnej zagładzie jej mieszkańców.

W pobliżu Celestynowa w rezerwacie „Całowanie” znajdziemy ptasi raj. Koło Sochaczewa możemy zobaczyć stuletnią kolejkę wąskotorową, zwaną ciuchcią – ostatnia stacja na tej linii to Wilcze Tułowskie. W centrum miasta na skarpie nad Bzurą wznoszą się ruiny zamku z XIV w., a w pobliskim Brochowie, w kościele obronnym, gdzie ochrzczono Fryderyka Chopina, odbywają się sezonowe koncerty jego muzyki.

Kilkadziesiąt innych osobliwości do samodzielnego odkrycia z „Po kolei. Przewodnikiem podwarszawskim”.

Tomasz Kowalik

Rocznik Jeleniogórski 2017



We wtorek 23 stycznia 2018 r. w gmachu Politechniki Wrocławskiej w Jeleniej Górze-Cieplicach zaprezentowano najnowszy tom „Rocznika Jeleniogórskiego”. Jest to już 49. wolumin pisma regionu Karkonoszy wydawanego przez Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry. Tym razem zawarto w nim teksty prawie trzydziestu autorów. Nad całością czuwał zespół redakcyjny w składzie: Stanisław Firszt, Ivo Łaborewicz (redaktor), Janusz Milewski, Marek Obrębalski, Marek Szajda (sekretarz) i Romuald Witzczak.

Spotkanie promujące nowy tom „Rocznika” poprowadzili Ivo Łaborewicz i Stanisław Firszt. Oni też zaprezentowali zawartość pisma. Oczywiście nie całą, bo tego nie da się zrobić podczas tak krótkiego spotkania. To jednak, co usłyszeli i zobaczyli przybyli do dawnego pałacu Schaffgotschów w Cieplicach, powinno wystarczyć jako zachęta do nabycia tej ciekawej pozycji. Stanisław Firszt opowiedział o swojej wieloletniej pracy w poszukiwaniu aktualnego miejsca pobytu eksponatów z dawnej kolekcji rodziny Schaffgotschów. Zbiór ten, nie bez powodów, był nazywany Skarbcem Śląska. Faktycznie ilość zgromadzonych przedmiotów była imponująca. Do tego trzeba dodać, że kolekcja obejmowała wiele obszarów. W skład jej wchodziły: olbrzymi księgozbiór, bardzo bogate zbiory przyrodnicze, kolekcja starej broni, niesamowita kolekcja szkła, obrazy i inne dzieła sztuki. Wiele z tych zbiorów było jedynymi w swoim rodzaju. Np. znajdowała się tu kolekcja złożona z 220 gatunków kolibrów (w naturze występuje ich około 230).

Po II wojnie światowej zbiory te, jako mienie porzucone, przejęło państwo polskie. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt dzielenia całości na poszczególne kolekcje i przekazywania ich muzeom w całej Polsce. Dzisiaj najwięcej eksponatów z Cieplic możemy zobaczyć w Muzeum Narodowym w Krakowie, Warszawie, Gdańsku czy we wrocławskim Ossolineum. Ale nie tylko. Zbiory są rozproszone na terenie całego kraju. Część z nich dostała się w ręce prywatne, część uległa zniszczeniu. Co jakiś czas pojawiają się cenne egzemplarze z cieplickich zbiorów na aukcjach europejskich. Czasami udaje się je odzyskać, najczęściej jednak nie.

Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy nie należy od razu mówić, że fakt rozproszenia zbiorów jest złem. Oczywiście sama likwidacja kolekcji była zjawiskiem negatywnym, jednak fakt, że wiele eksponatów trafiło do dużych, wyspecjalizowanych placówek muzealnych, przyczynił się do ich przetrwania. Placówki te bowiem posiadają stosowne możliwości i warunki do konserwacji i właściwego przechowywania eksponatów.

Poszukiwanie miejsc pobytu wywiezionych z Cieplic dzieł jest bardzo żmudne. Można powiedzieć, że to praca dla dobrego detektywa. Niemniej, niezależnie od włożonego w nią wysiłku, jest to działanie bardzo potrzebne i przynoszące coraz lepsze rezultaty.

Jeśli chodzi o pozostałą zawartość „Rocznika Jeleniogórskiego”, to znajdują się tam m.in. teksty traktujące o badaniach archeologicznych, zbiorach szkła zgromadzonych w Muzeum Karkonoskim, aspektach historycznych Jeleniej Góry; wreszcie różnego rodzaju sprawozdania, recenzje lub informacje krajoznawcze z regionu oraz kronika prowadzona – niezmiennie od początku – przez Czesława Margasa.

Myślę, że każdy zainteresowany przeszłością Jeleniej Góry i jej okolic znajdzie coś ciekawego, co przyciągnie jego uwagę, wzbogaci wiedzę o naszym regionie.

Krzysztof Tęcza



Głośnie białowieskie szepty

Co krajoznawcy wiedzą o Białowieży? Jeszcze mniej niż turyści i przypadkowi wycieczkowicze. Z zasady myślą Białowieżę z Białowieskim Parkiem Narodowym, czyli wieś z siedzibą gminy, dyrekcji Parku Narodowego i kilku innych ważnych placówek naukowych. Jak na ironię, hasło „Białowieża” wywołuje ostatnio tylko skojarzenie z rabunkowym wyrębem starodrzewu, „chorych” świerków, zamierzonym odstrzałem żubrów, awanturami leśników z protestującymi ekologami.

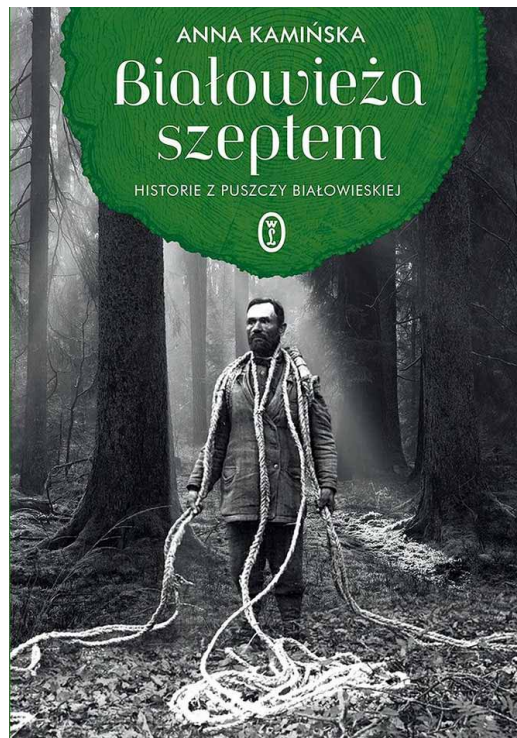
O wsi Białowieża, jej przebogatyh dziejach „za królów i carów”, losach mieszkańców za sanacji, w latach wojny, za czasów Polski Ludowej i w kolejnych dziesięcioleciach, aż po dzień dzisiejszy – zgoła mało kto lub nieliczni wiedzą cokolwiek. A jest to mała ojczyzna wielu ludzi wspaniałych, ale i podłych, rozchwianych moralnie i zasłużonych dla swoich bliskich, dla ich rodzinnej puszczy. O większości z nich, o ich losach, życiu bogobojnym lub występny, dramatach rodzinnych, o tzw. życiu codziennym nie wiadomo nic lub mówi się tylko szeptem. Swoich spraw – jak każe tradycja zaściankowa – nie wynosi się na zewnątrz.

Taka jest bogata, wciągająca czytelnika jak puszczańskie ostępy, gęstwina i bezdroże, treść książki „Białowieża szeptem. Historie z Puszczy Białowieskiej”. To swoisty portret „z natury” kresowej miejscowości, czyli to, co nazwać można wiedzą ukrytą, tajemną, strzeżoną przed postronnymi, a czasem wstydliwą albo godną poznania i chwalebą, taką jak w opowieściach z cyklu „za siódmą górą, siódmą rzeką, za gęstym i ciemnym borem”. Bo też tak jest w istocie – z Białowieży i do Białowieży zewsząd daleko. Jednak dla prawdziwego krajoznawcy, który zechce wiedzieć jak najwięcej, nie tylko o żubrach i wiekowej puszczy, ale i o jej krajobrazie społecznym, to właśnie najbardziej wartościowa cecha tej wsi, jej dawnych i współczesnych mieszkańców. Autorka sięga do przebogatyh w zdarzenia wątków jej dziejów, dawnych czasów i zdarzeń, które tworzyli ludzie. Zwyczajni, puszczańscy, zakochani w leśnych ostępach, które chronili, wykorzystywali, w których wnętrzu pracowali, ale także możni politycy, którzy chcieli mieć puszczańskie skarby tylko dla siebie, bezwzględnie je zawłaszczali, niczym żyjący z puszczy kłusownicy i złodzieje. Z tych dziejów ludzi przybyłych do wiekowego lasu i rodowitych białowieżan – drwali, karmicieli żubrów, bartników i naukowców, autorka utkała gęste, zgrzebne sukno czy może barwny kobierzec. Obie tkaniny godne są podziwu, uznania dla reporterskiego rzemiosła twórczyni i jej bohaterów. To historia opowiedziana szeptem potrafiącemu słuchać czytelnikowi – o tym, jak to w tej puszczy i we wsiach puszczańskich bywało i jest do dziś.

Anna Kamińska słuchała szeptanych i na pół głośnych białowieskich opowieści gdzieś w białowieskich opłotkach, ale zrobiła z nich użytek pełnym głosem na łamach swej książki. Publikacja stanie się głośna dzięki czytelnikom, jeśli trafi do ich ciekawości; niewątpliwie będzie uznana za opowieść smakowitą i wiarygodną. Fakty na jej kartach mówią same za siebie. Autorka opowiada przede wszystkim soczyście o białowieżanach, czasem o kilku pokoleniach starych rodzin. Wszystkie miały coś wspólnego z puszczą, tworzyły barwne, ciekawe i dramatyczne obrazy życia codziennego Białowieży. Większość postaci to leśnicy, drwale, myśliwi, kłusownicy, wozacy, tracze, strażnicy, robotnicy leśni z siekierami i piłami, bimbrownicy, pielęgniarze żubrów, przybysze lub osiadli od pokoleń, wielu pogrążonych w nałogu pijackim, wraz z ich niewinnymi żonami i dziećmi.

Jednocześnie – co może zaskakiwać czytelników tej książki i bogobojnych turystów czy letników – białowieżanie to liczni Białorusini, Rosjanie, Kozacy syberyjscy, Ukraińcy, Polacy, Żydzi, ale też Szkoci, Holendrzy, Anglicy, których ściągnęła do Puszczy jakaś firma drzewna, jak sławna angielska Centura, rodzime Lasy Państwowe czy Białowieski Park Narodowy. Ważna różnica jest w tym, że o ile osławioną, rąbiącą białowieski las Centurę udało się przepędzić, o tyle rodzimych urzędowych „zbawców” puszczy jakoś nie można.

Przybysze z różnych krajów osiedli w Białowieży lub w pobliżu dla zarobku, z nadzieją na zbudowanie domu rodzinnego i życie niebogate, ale „na swoim”. Zjeżdżali się z dawnej carskiej Rosji, z całej dawnej Polski, od Krakowa po Gdańsk. Dowiadujemy się, że żyli najczęściej bardzo skromnie, spożywali *zacierkę, babkę ziemniaczaną, kisiel z owsa, ziemniaki z olejem lnianym, zupę grzybową, chleb razowy, kwas chlebowy, kisiel żurawinowy, kaszę z prosa, śledzie w oleju lnianym, jajecznicę, wodę makową i kawę z cykorii*. W przewodniku z 1925 r. czytamy informację: *choć Białowieża jest wsią, jednak o produkty wiejskie – masło, jaja, twaróg itd. – jest tu trudno i ceny na te produkty są równe warszawskim*.



W 1775 r. wieś miała zaledwie 20 domów; w 1929 r. – nieco ponad tysiąc mieszkańców. Na polowania do puszczy zjeżdżali królowie Batory, Wazowie, Sasi, ale też polski prezydent Mościcki i hitlerowski dyktator Goering. O prominentach z późniejszych lat można się dowiedzieć z wielu przewodników. Dla rosyjskiego cara zbudowano w 1894 roku wspaniały dwór, który po II wojnie wyleciał w powietrze jako relikwiarz przeszłości. Turyści do Białowieży przybywali zwykle pociągiem. Linię kolejową dla rosyjskiego cara Aleksandra zbudowano w 1894 r. Wieś miała dwa dworce: Białowieżę Pałacową – ta piękna budowla z drewna ocalała ze wszystkich burz dziejowych – i Białowieżę Towarową, która wygląda lepszych czasów. Na możliwość dojazdu koleją zaledwie do Hajnówki czekali wiele lat, a od 2014 roku znowu jest możliwy.

Jedną z najbardziej znanych osób, które gajówkę w puszczy obrały za swoją małą ojczyznę, jest krakowianka ze sławnego rodu Kossaków – Simona, profesor nauk przyrodniczych, zaprzyjaźniona z wilkami, rysiami, łosiami i krukami. Autorka „Białowieży szeptem” w książkowym reportażu „Simona” (2015) pozwoliła nam poznać tę osobliwą strażniczkę puszczy i jej pasje przyrodnicze. Żył w tej wsi również pisarz i ornitolog Józef Mackiewicz, a ostatnio dziennikarz i przyrodnik Adam Wajrak.

Mamy zatem okazję do poznania Białowieży jako wsi razem z jej mieszkańcami, żyjącymi z wiekowej puszczy i dla niej. Ale w istocie jest to panorama niełatwych losów ludzi z nią związanych całym życiem, na dobre i złe. Ośmielam się nazwać tę książkę rzadko spotykaną opowieścią krajoznawczą o Białowieży widzianej z bliska. Nierozzerwalnie związanej ze sławną na świecie puszczą i rezerwatem, ale jednak osobnej, tajemniczej. Jej losy opowiadane są szeptem, lecz – paradoksalnie – po to, żeby było o nich głośno.

Tomasz Kowalik

Anna Kamińska, „Białowieża szeptem. Historie z Puszczy Białowieskiej”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, s. 272

Przyroda dla krajoznawcy (i odwrotnie)

Poznawaniu naszej przebogatej przyrody trzeba poświęcić sporo uwagi, czasu. Dojdziemy nawet do wniosku, że trzeba zrobić większy wysiłek w poszukiwaniu pięknych i cennych, rzadkich i niezwykłych, często jedynych na naszym szlaku wędrówki przyrodniczej, zjawisk, przedmiotów, okazów stworzonych przez naturę. Wysiłek się opłaca, o czym świadczą dzieła fotografów przyrody czy autorów książek. Od najdawniejszych czasów wędrówka, krajoznawstwo i turystyka są nieodłącznie związane z przyrodą i krajobrazem. To one, nawet jeśli są przekształcone, zdewastowane przez człowieka, motywują nas do poszukiwania ich osobliwości, różnorodności, bogactwa.

Jednak nie brakuje turystów i krajoznawców pragnących przede wszystkim poznać przyrodę. A nie da się jej poznać i przeżyć, jeśli się naturę lekceważy, nie szanuje. Wypada wspomnieć starą prawdę, że przyrodę i krajobraz pożyczaliśmy od naszych poprzedników i powinniśmy je zostawić jak najmniej zmienione naszym następcom.

A jest z kogo brać przykład, co udowodnili liczni autorzy literatury przyrodniczej i krajoznawczej czy wydawnictw fotograficznych. Żyli wśród przyrody i starali się nam ją pokazać, często tak porywająco, że ich naśladujemy, idziemy za ich przykładem tymi samymi ścieżkami, z lornetką, aparatem fotograficznym. Po prostu jak najczęściej chcemy być tam, gdzie woda czysta i trwa zielona, dorodny las, nad rzeką czy jeziorem, na górskich i nizinnych ścieżkach.

W wielu naszych parkach narodowych szlaki turystyczne są przepelnione hałaśliwym tłumem „turystów” i coraz trudniej doszukać się atrakcji przyrodniczych. W istocie nie mamy już obrony przed hałasem, rzuconymi w bok od szlaku puszkami, butelkami, papierami, plastikiem. A tym bardziej bezradna jest przyroda – ona



nie ucieknie przed skutkami naszego „uczutowania” w miłym otoczeniu. Tym sposobem spotkanie z bogatą przyrodą jest coraz rzadziej możliwe.

Zgodnie z odwieczną zasadą, że człowiek uczy się całe życie, warto sięgnąć po książkę przyrodniczą. Żeby nie rozmawiać ze ślepym o kolorach, warto skorzystać z takiego pośrednictwa i porozumieć się z uznanym znawcą, z kimś biegłym w sprawach ochrony przyrody i środowiska. Dlatego zachęcam do poznania „Opowieści z Dziedzinki”. Ich Autorka (z wielopokoleniowym artystycznym rodowodem), pochodząca z miasta, gdzie panuje smog, porzuciła rodzinne siedlisko i osiadła na całe życie w Puszczy Białowieskiej. Poświęciła się badaniom jej osobliwości w sposób równocześnie naukowy i jak najbardziej osobisty. Jej domem stała się bardzo daleka od miejskich luksusów, położona z dala od drogi leśniczówka. W ten nietypowy, jak na XX wiek, sposób obrała życie dosłownie w przyrodzie. Mając ją na wyciągnięcie ręki zajęła się jej poznawaniem, badaniem naukowym, bezpośrednią ochroną, często przybierającą formę walki. Nie wahała się przyznać do bycia częścią przyrody. Znana jest z osławiania dzikich zwierząt, zawierania z nimi nie tylko znajomości, ale swoistej przyjaźni. Taka postawa i obrany świadomie styl życia kontrastowały z powszechnym traktowaniem przyrody jako przedmiotu jednorazowego użytku, płytkim nad nią zachwytem (nawet wobec takiego bogactwa, jak w Puszczy Białowieskiej). Autorka swoim przykładem – jednostkowym i unikatowym – przekonywała przez wiele lat, że z natury nie można tylko brać. Ochroniona przed... człowiekiem pozwala na bogate i pomyślne życie nie tylko jednostkom. Książka opowiada o prywatnym świecie i życiu Simony Kossak dosłownie w przyrodzie. Nie dla egoistycznej przyjemności, ale by ją lepiej poznać i zrozumieć. O skuteczności jej życia w taki sposób świadczą prace naukowe, publikacje, tytuły akademickie, liczne inne dowody publicznego uznania.

Oczywiście, nie namawiam czytelników do porzucenia miejsc i stylu życia, do naśladowania Autorki. W naszym przypadku, jeśli chcemy być, choćby tylko odświętnie i od czasu do czasu, turystami przyrodnikami, konieczne jest wybranie się „ku przyrodzie”. Nieważne kiedy, skąd się wyrusza, ani dokąd się zmierza – najważniejsza jest braterska bliskość z przyrodą i krajobrazem. Zbiorowa i indywidualna turystyka przyrodnicza jest możliwa i pożądana. Takie obcowanie, zgodnie ze starą zasadą krajoznawców *Poznaj swój kraj*, powinno przysłużyć się do wzbogacenia naszego życia codziennego. A przyroda dzięki temu zyska obrońcę i szacunek. Warto przy okazji uświadomić sobie, że ochrona polskiej przyrody jest zapisana w naszej historii od co najmniej tysiąca lat. Chronili ją królowie i książęta, magnaci i chłopci, wybitni naukowcy i zwyczajni obywatele, duchowni i świeccy, dorośli i młodzież. I mało prawdopodobne, aby problem ochrony przyrody polskiej i krajobrazu przestał nas kiedykolwiek interesować. Wiele wskazuje na to, że społeczeństwo obywatelskie chce mieć wokół siebie przyrodę w dobrym stanie. Na szczęście nieliczne są przykłady (czasem wspierane ministerialnymi stanowiskami i pseudonaukowymi autorytetami) zachłanności i bezmyślności. Ostatnio jeszcze raz okazało się, że przysłowie *Dłużej klasztoru niż przeora* ma głęboki sens i – jak w przypadku Puszczy Białowieskiej – budzi nadzieję na poszanowanie przyrody, tak jak je pojmowała mieszkanka białowieskiej Dziedzinki.

Tomasz Kowalik

Simona Kossak, „Opowieści z Dziedzinki”, wyd. Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2017, stron 208 + 32 barwne fotografie

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony „Złotą Honorową Odznaką PTTK” w 2002 r. oraz Odznaką Honorową „Za Zasługi dla Turystyki”
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931